Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



„Björnson", jedyny na świecie stadnik pochodzenia białowieskiego. Fot. dr. J. J. Karpiński.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 20 (796) 10 LIPCA 1936 R.



Jezioro Szulnia w Puszczy Rudnickiej. Fot. O. Pereświet-Sołtan.

KONKURS FOTOGRAFICZNY ŁOWCA POLSKIEGO.

Ogłaszamy, jak co roku, konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie.

W premjowaniu będą brane pod uwagę fotografje najodpowiedniejsze do reprodukcji w „Łowcu Polskim".

Zasadnicze warunki konkursu pozostają, jak zawsze, te same.

Wobec stale wznoszącego się poziomu nadsyłanych na konkursy zdjęć fotograficznych i pragnąc zachęcić jak najszersze koła ubiegających się o nagrody, Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i w tym roku postanowił powiększyć liczbę nagród w porównaniu z ubiegłemi latami.

Nagrody pieniężne określono, jak następuje: I nagroda zł. 150.—; II — zł. 100.—; III — zł. 50.—; IV — roczna prenumerata „Łowca Polskiego" i V — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego", przyczem tych dwóch ostatnich nagród ustalono potrójną liczbę.

Niezależnie od powyższych nagród będą przyznane za wybitne zdjęcia także odznaczenia w postaci złotych, srebrnych i bronzowych żetonów.

Jury konkursowemu przysługuje nadanie wszystkich wymienionych nagród i odznaczeń według uznania, bądź za pojedyńcze zdjęcia, bądź też za serje, lub całokształt pracy autorskiej.

Jury konkursowe stanowią, jak corocznie, członkowie Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Dla otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej odbitki w druku, konieczną jest ostrość zdjęcia, eksponowanego właściwie i odbitego na papierze bromosrebrnym, świecącym. Najbardziej pożądany jest czarny kolor odbitki.

Przypominamy, że na zdjęciach (odbitkach), nadsyłanych na konkurs, należy podawać tytuł obrazu, nazwę miejscowości i powiatu, markę aparatu, użytego do zdjęcia oraz godło konkursowe autora.

Nazwisko i adres, wypisane czytelnie, należy przesłać w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej nazewnątrz tem samem godłem, co wszystkie nadesłane na konkurs fotografje.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich, do użytku pokrewnych czasopism zagranicznych, w celach propagandowych.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Ostateczny termin nadsyłania zdjęć na konkurs upływa 31-go października!

POTRZEBA STATYSTYKI.

Na ostatnim pokazie trofeów myśliwskich w 1934 r., urządzonym przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie z myślą możliwie najdokładniejszego przedstawienia zagranicznym gościom, członkom zjazdu Międzynarodowej Rady Łowieckiej, możliwości łowieckich w Polsce i jakościowego bogactwa zwierzostanów, wystawiono obok trofeów ciekawe mapy statystyczne, opracowane przez Naczelną Dyrekcję Lasów Państwowych, a dotyczące jakościowego i ilościowego rozmieszczenia ważniejszych gatunków zwierzyny na terenach dóbr państwowych.

Z map tych skorzystał w bieżącym roku komitet organizacyjny polskiego pawilonu na powszechnej wystawie międzynarodowej w Brukseli, gdzie między innemi zorganizowany został przez p. inż. H. Knothego dział łowiecki. Do Brukseli wysłano wprawdzie jedną tylko mapę statystyczno - zasiedleniową, dotyczącą zwierzyny polskiej, lecz umieszczono na niej wszystkie na szeregu map opracowane uprzednio (na pokaz warszawski) gatunki zwierzyny.



Z Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie.
Od lewej stoją pp.: R. Czaplicki, I rycerz, T. Koszutski, Król Kurkowy na 1935 r. i A. Auterhoff, II rycerz. (Do art. na str. 398).

Mapa tego rodzaju jest doskonałą i, można powiedzieć, artystycznie podaną formą poglądowego wykazania bogactwa zwierzostanów, co dla propagandy naszego łowiectwa staje się ilustracją niezwykle przejrzystą i dodatnią.

Nie trzeba jednakże zapominać, że powyższe dane statystyczne dotyczą wyłącznie łowisk polskich, objętych administracją dóbr państwowych, czyli zaledwie 1/16 części obszaru naszego kraju.

Zbytecznem byłoby dowodzenie, jak olbrzymią lukę stanowi wobec tego brak statystyki zwierzostanów z łowisk prywatnych, zwłaszcza co do niektórych gatunków zwierzyny, faktycznie znacznie przewyższających ich stan ilościowy, notowany przez łowiska państwowe. Wypada w tem miejscu podkreślić, że luka ta znacznie większą, niż w dziedzinie propagandy, przynosi szkodę samej gospodarce łowieckiej, pracy nad jej dalszą organizacją, planom rozbudowy na przyszłość i stosowaniu właściwych środków ochronnych oraz walki z kłusownictwem.

Nie to jedno bowiem w dziale statystyki łowieckiej stanowi dziedzinę ugorującą i zapoznaną. Wydobycie wszystkich danych statystycznych na światło dzienne i spopularyzowanie ich wśród jednostek, poświęcających się hodowli i ochronie zwierzyny, przynieść może wprost nieocenione wyniki dodatnie, o czem należy bezwarunkowo poważnie pomyśleć.

Dzisiejszy stan sił organizacyjnych naszego łowiectwa, zamknięty w dotychczasowych ramach rozbudowy powszechnego zrzeszenia ideowego, jakiem jest Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, pozwala sądzić, że sił tych mogłoby starczyć na znacznie więcej pracy programowej, niż w danym momencie udaje się jej wykonać. Jeśliby, niezależnie od pracy natury ogólnej, wykonywanej przez centralę, oprzeć się tylko na ośmiu regjonalnych Oddziałach P. Z. S. Ł., a przedewszystkiem na odpowiedniem skoordynowaniu różnego rodzaju działalności terenowej w rękach rozrzuconych po całym kraju delegatów powiatowych — wiele, bardzo wiele spraw dałoby się ruszyć z miejsca i celowo je przeprowadzić.

Ale powiedzmy, że istnieją przeszkody różnorodnej natury, które narazie nie sprzyjają takiemu stawianiu kwestji w odniesieniu do pracy ideowej na polu łowiectwa; uznajmy, że przyczyną tego przedewszystkiem są wady konstrukcyjne całokształtu organizacji, to jednak w każdym razie spodziewać się możemy, że znowelizowanie statutu P. Z. S. Ł., które znajduje się obecnie w opracowaniu, raz na zawsze przeszkody te usunie.

Z tem wszystkiem jednak już należało i można było nader ważny dział statystyki łowieckiej zapoczątkować praktycznie, zwłaszcza, że aparat techniczno-organizacyjny, jakim mógłby posłużyć się Związek — w osobach delegatów powiatowych — pod względem fachowym w niczem nie ustępuje, przeciwnie niejednokrotnie przewyższa środki, jakiemi w tym zakresie rozporządza Naczelna Dyrekcja Lasów Państwowych. Natomiast sam dział statystyki jest stanowczo w łowiectwie pracą stosunkowo najłatwiejszą do wykonania, gdyż niewymagającą niczego więcej, prócz dociekliwości poszczególnych przedstawicieli łowiectwa w powiatach i ich umiejętności w zorganizowaniu tej pracy zapomocą pisemnych relacyj z bezpośrednimi zarządcami gospodarką łowiecką w poszczególnych obwodach, na zasadzie chociażby stosunków osobistych.

Zapewne, że nawet wyczerpanie wszelkich możliwości w kierunku zebrania wiadomości statystycznych ze wszystkich ziem polskich nie przyniosłoby (jeżeli chodzi o zwierzynę) absolutnie dokładnych danych, choćby tylko ze względu na to, że ogromna łączna przestrzeń obszarów tych ziem nie stanowi dotychczas zarejestrowanych obwodów łowieckich, wszelako stanowiłoby niewątpliwie nader korzystne posunięcie i zbliżenie do cyfr ostatecznych, których na każdem polu, w dziedzinie łowiectwa, odczuwa się wielki brak.

Najgłówniejszemi rubrykami w tym zakresie, obok ewidencji kart łowieckich, zapoczątkowaniem czego zajęła się Komisja Propagandowa Związku, mojem zdaniem, są: 1) ilość zwierzyny każdego gatunku, 2) przeprowadzany roczny odstrzał tej zwierzyny, 3) stan kłusownictwa, a także wysokość i ilość kar, wymierzonych za przestępstwa łowieckie (dane te częściowo dziś już są osiągane ze sprawozdań niektó-

rych delegatów powiatowych), 4) wyszczególnienie obwodów łowieckich (wzgl. terenów niezarejestrowanych), mogących stanowić tereny dzierżawne w celach hodowlano - eksploatacyjnych.

Przypatrzmy się jednak bliżej celowości posiadania takiej statystyki i niezawodnym korzyściom, jakieby ona musiała przynieść:

1) Sferom rządzącym, organizatorom łowiectwa i autorom łowieckim przybyłyby dane, niezbędne do wysuwania wniosków, dotyczących rozbudowy gospodarki łowieckiej pod względem prawnym, hodowlanym i eksploatacyjnym (możliwości odstrzałowych, organizowania handlu zwierzyną wewnątrz kraju i na eksport i t. p.).

2) Każdy myśliwy, któremu sprawa rozwoju i osiągnięcia najwyższego szczytu przez gospodarkę łowiecką leży na sercu, zyskałby dane orjentacyjne, dotyczące całokształtu naturalnego bogactwa w zwierzostanach.

3) Całemu społeczeństwu stałyby się wiadomemi faktyczne wartości gospodarcze łowiectwa, a określające je cyfry, byłyby istotnem wytłomaczeniem doniosłości tego działu w gospodarstwie ogólno-krajowem.

Już ta potrójna korzyść, płynąca ze stworzenia statystyk łowieckich całego kraju, dostatecznie ilustruje potrzebę, a nawet nieodzowność możliwie najdokładniejszego, stałego ich prowadzenia.

Jeżeli, rozszerzając punkt 1-szy, dodamy, że niepodobna dziś wykończyć żadnej szerzej pomyślanej pracy, dotyczącej korzyści z łowiectwa płynących i że niemożliwem jest ich porównanie z korzyściami, osiąganemi drogą miejscowych ustaw i środków przez inne kraje Europy, wreszcie, że w tych kwestjach zarówno prawodawcy, jak i organizatorzy łowiectwa i ich rzecznicy na łamach piśmiennictwa zmuszeni są operować ogólnikami — nieodzowność prowadzenia statystyki okazuje się dla rozwoju łowiectwa polskiego aż nadto uzasadnioną.

Jeżeli natomiast wziąć pod uwagę, że tu i ówdzie, w niektórych powiatach, jak gdyby w oazach pod względem zrozumienia tego zadania, istnieje samorzutne zapoczątkowanie prac statystycznych i zamiłowanie niektórych jednostek do nich, to śmiało twierdzić można, że reszta — to jest uogólnienie i nadanie tej pracy wspólnego łożyska metodycznego — zależy jedynie od umiejętności zorganizowania jej przez instytucję, w której zbiegają się wszystkie nici i relacje gospodarki łowieckiej całego kraju.

Pozatem ośmielę się wyrazić przekonanie, iż jest to zadanie tak dalece ważkie, że mogący podjąć się celowego zorganizowania go Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, jako najwięcej do tego powołany, powinien spotkać się pod każdym względem z poparciem w przeprowadzeniu swych zamierzeń Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, a więc i z przydzieleniem mu na to odpowiednich funduszów.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

DWA TOKI.

Siedzieliśmy w kilku pewnego kwietniowego wieczora o zmierzchu w głuszy Polesia wołyńskiego, przed chatą leśnika, u ogniska, które kazaliśmy sobie rozniecić, woląc przepędzić przy niem kilka godzin na świeżem powietrzu, zamiast w dusznej chacie, w oczekiwaniu, aż nadejdze godzina, gdy udać się będzie trzeba do miejsca toków cietrzewich.

Było nas w tej grupie myśliwych pięć osób, w czem czterech gości, którzy ze stolicy przybyli na zaproszenie gospodarza p. Józefa Z., posiadającego tu na Wołyniu spory majątek leśny, gdzie pędził on samotnie żywot starego kawalera, nie wyglądając prawie wcale na świat i dzieląc czas pomiędzy polowanie, a książki i czasopisma, wystarczające mu za towarzystwo.

Był to człowiek, który dawno już przekroczył 50-tkę, ale trzymał się krzepko, a pomimo zupełnej już siwizny, zachował czerstwość twarzy, której foremne rysy nosiły ślady dawnej, nieposledniej, męskiej urody.

W rysach tej twarzy, wyjątkowo szlachetnych i rasowych, przebijało zazwyczaj jakieś poważne zadumanie, a rzadkiemu uśmiechowi, jaki na niej się pojawiał, towarzyszył zawsze dziwny smętek.

Pan Józef, którego znałem oddawna i przyjaźniłem się z nim szczerze, z natury był dosyć zamknięty w sobie i małomówny, ożywiał się jednak zarówno na polowaniu, jak też wogóle wtedy, gdy znalazł się w kółku myśliwych, ale i wówczas z jego twarzy nie schodziła mgła zadumy, świadcząca, iż w duszy jego tkwi pamięć czegoś bolesnego, co nie daje o sobie zapomnieć.

Istotnie słyszałem coś nie coś o tem, że w młodości swojej miał pan Józef jakieś tragiczne przejście na tle sercowem, które skazało go na celibat i na zamknięcie się w sobie. Bliżej nie zwierzał mi się z tem p. Józef, a trudno go było o takie rzeczy pytać.

Danego wieczora zauważyłem, że gospodarz nasz, zawsze wyjątkowo gościnny i serdeczny, był nastrojony smutno, a ten nastrój maskował nieco sztucznem ożywieniem, które kazało się domyślać jakiegoś podniecenia duchowego.

Siedzieliśmy w oczekiwaniu na kolację, którą nam przy pomocy żony leśnika pitrasił stary strzelec p. Józefa, Harasym, skracając czas rozmową na różne tematy łowieckie, w których — oczywiście — nie brakło wspomnień na tle przeżyć z dawnych czasów.



Odjazd z przystani. Fot. W. Namysłowski.

Noc była dosyć ciepła i wyjątkowo pogodna, cisza panowała w lesie głęboka i całe otoczenie wpływało na wytworzenie się tego cudnego nastroju, który może zrozumiały być tylko dla myśliwego i dla kogoś, kto umie odczuć piękno natury.

Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, przeplatana anegdotami i wspomnieniami, aż wreszcie, jak to między mężczyznami bywa, przeszła na temat własnych wspomnień na tle przeżyć sercowych. Gdy zaś jeden z naszego grona opowiedział historję o pewnem dosyć smutnem przeżyciu na danem tle, p. Józef, którego obserwowałem uważnie, jak ze wzruszeniem słuchał tej opowieści, mały dotąd udział przyjmując w rozmowie, przegarnął ręką po swej siwej czuprynie i widocznie poruszony odezwał się: „Mówicie o miłości i o szczęściu i mówicie poważnie. Tak, moi drodzy, niemasz większego szczęścia, jak miłość, gdy się na takie rzadkie szczęście

natrafi — ale szczęście to jakże jest kruche i jak nietrwałe. Moje życie dało mi chwilę takiego szczęścia, ale na jeden błysk tylko. Opowiem wam to dzisiaj".

*

Było to przed laty... zresztą mniejsza o ścisłą datę, dość że było wtedy, gdy na świat patrzyło się jeszcze przez pryzmat młodzieńczego wieku, gdy nawet poważną pracę traktowało się na wesoło, a zabawie oddawało się całego siebie bez reszty.

W kilka lat po ukończeniu wszechnicy rolniczej znalazłem się na Podolu, w jednym z południowo-zachodnich powiatów, w roli dzierżawcy sporego szmata cudownej czarnoziemnej gleby. Była już właśnie druga połowa marca, śniegi zeszły z pól, wody z szumem toczyły się po jarach i w powietrzu czuć już było zbliżającą się wiosnę.

Pewnego ranka, gdy w mojej garsonierze, ukrytej przytulnie wśród obszernego sadu, w głębi podolskiego jaru, siedziałem przy śniadaniu, wszedł do pokoju mój strzelec Harasym i położył przedemną przywiezioną z poczty korespondencję.

Przerzucając gazety, rzuciłem okiem na kilka listów i na jednej z kopert zauważyłem znajomy mi charakter pisma. Po rozcięciu koperty i po wyjęciu listu spojrzałem na podpis — pisał do mnie Janek Ł., mój dobry kompan i kolega z wszechnicy.

Położyłem list na stole i zamyśliłem się przez chwilę.



Irenka i sarenka.

Odrazu w pamięci mojej zarysowała się zgrabna postać rosłego chłopca o przystojnej, nieco zawadjackiej twarzy, ozdobionej buńczucznie podkręconym, ciemnym wąsikiem, o siwych, śmiało, ale poczciwie patrzących oczach, o wysokiem, rasowem czole, którego nie zakrywał czupurnie nałożony na bakier „dekiel" korporacyjny.

Mieszkaliśmy z Jankiem przez całe trzy lata studjów bez przerwy razem i polubiliśmy się z całego serca. We wszelkich eskapadach studenckich prym trzymał zawsze Janek. Pogromca serc wszystkich nieomal „Graetchen", zamieszkujących uniwersyteckie miasto w Niemczech, gdzie studjowaliśmy agronomję, Janek był nielada zawadjaką, a znakomicie bijąc się na rapiery i po mistrzowsku strzelając z „Kuchenreiter'ów", szczerbił bez miłosierdzia burszów niemieckich, znacząc im „mensury" na policzkach „krzyżową sztuką", był zarazem ich postrachem, gdyż, w razie czegoś poważniejszego, ciągnął ich na plac na pistolety.

Raz podczas wycieczki do Berlina, spotkawszy na Unter den Linden u Kempiński'ego grupkę „huzarów śmierci", buszujących przy sąsiednim stoliku, zaczepiony przez jednego z nich brutalnie, trzasnął bez namysłu junkra w pysk i całej grupce rzucił wachlarzem swoje bilety wizytowe, słowem — wyzwał cały pułk. W ciągu 3-ch kolejnych dni rozciągnął na placu 3-ch junkrów i dlatego tylko nie rozciągnął czwartego, że zjawili się żandarmi i wywieźli go na stację kolejową z zakazem pokazywania się kiedykolwiek w Berlinie.

Po skończonych studjach los nas rozdzielił, jednak spotykaliśmy się od czasu do czasu, zwłaszcza podczas karnawałów w Warszawie, a pozatem pisywaliśmy do siebie stosunkowo dosyć często. Od lat dwóch jednak Janek zapadł w głębi Polesia, gdzie po rodzicach odziedziczył ładny majątek leśny, położony nad jedną z rzek, stanowiącą prawy dopływ Dniepru. Zapraszał mnie już kilkakrotnie do siebie, ale jakoś tak się dotąd składało, że coś mi zawsze stanęło na przeszkodzie wybrania się w tamte strony.

Domyśliłem się, że w nadesłanym liście ponawia swoje zaproszenie. Jakoż istotnie tak było. List nosił datę z przed tygodnia. Pisał mi Janek, że u niego śnieg w lasach już zaczął tajać, że głuszce już grają, że lada dzień zaczną ciągnąć słonki i rozpocznie się tok cietrzewi. Nim list dojdzie do mnie i zanim się zbiorę do drogi, wiosna na Polesiu zacznie się już na dobre. Rzeka już ruszyła i na przystani mówiono mu, że za 3—4 dni najdalej podjętą zostanie żegluga. Ponieważ zaś od najbliższej stacji kolejowej trzeba jeszcze w dół rzeki płynąć statkiem ze 30 wiorst, aby dostać się do jego Horodyszcza, przeto prosił mnie o zadepeszowanie, czy przyjadę, a on wówczas odpowie mi telegraficznie, czy żegluga już otwarta. Radził mi przytem, abym wyjechał z takim rozrachunkiem, żeby na jego stację przyjechać zrana, statek bowiem zatrzymuje się w pobliskiej przystani w godzinach rannych i jest akurat tyle czasu, żeby nawet po grząskiej drodze przebyć kilka wiorst od stacji kolejowej do przystani i zdążyć w porę na statek.

„Przyjeżdżaj koniecznie" — pisał dalej Janek — „ciągi mam tu pierwszorzędne, a na tokach cietrzewich grywa po kilkadziesiąt kogutów. Żeby Cię jeszcze bardziej zachęcić do wybrania się nareszcie do mnie, dodam Ci, że w sąsiedztwie, o 60 wiorst w dół rzeki, bawi u siebie pani Lala N. z domu K. Pamiętam, że przed 4-ma laty, podczas karnawału w Warszawie, wcale agresywnie „tokowałeś" do niej. Pani Lala od półtora roku jest wdową, o czem słyszałeś zapewne. Niedawno, po kontraktach kijowskich przyjechała do swej rezydencji leśnej na kilkotygodniowy odpoczynek. Bawi u niej jej przyjaciółka, greczynka, również wdówka — po bankierze z Odesy, typ szampański i bez zbytniej pruderji. Przed dwoma tygodniami, jeszcze za sanny, odwiedziłem te panie i obiecałem im, że ściągnę Cię tutaj do naszej puszczy i przywiozę do nich, do Białego Brodu na toki. Pani Patra, — takie bowiem skrócone imię Kleopatry nosi greczynka, — ma śliczny głos i jest bardzo muzykalna. Obie panie są gorliwemi służebniczkami św. Huberta, doskonale grają w odkrytego winta..., a przytem wdówki, zdaje się, trochę się nudzą tutaj w tej głuszy. Przyjeżdżaj więc koniecznie conajmniej na tydzień, a z gospodarstwem u Ciebie i z siewami da sobie doskonale radę Twój rządca, p. Szczuka, o którym pisałeś mi kiedyś, że jest dzielny chłop. Zresztą te Twoje czarnoziemy napewno nie tak prędko podeschną i na siewy zdążysz wrócić na swoje stepy. Całuję więc listownie Twoją fizjognomję i czekam na depeszę"...

Odłożyłem list na stronę i puściłem wodzę myślom. Pani Lala... Ależ tak, przypominam sobie doskonale. Gdy w dwa lata po skończeniu studjów znalazłem się podczas karnawału w Warszawie, pojawiła się na horyzoncie efektowna panna, która swoją nieprzeciętną urodą ściągnęła na siebie powszechną uwagę. Ojciec, zamożny przemysłowiec z Odesy, mający sporo interesów w Warszawie, przywiózł ją na karnawał, aby poznała szerszy świat i odwiedziła kraj ojczysty, w którym nie była jeszcze nigdy.

W miarę wysoka, niebieskooka szatynka, smigła, jak topola, cudownie zbudowana i rozwinięta już pomimo swych 18-tu lat, o cerze brzoskwiniowej i o ustach pałających, jak kwiat szkarłatnej róży, zrobiła formalną furorę na pierwszym zaraz balu, na którym zadebiutowała w szykownej toalecie, specjalnie wykonanej przez jednego z paryskich „*grands faiseurs'ów*". Tańczyła znakomicie, a w rozmowie okazała się dowcipną *causeuse*, umiejącą inteligentnie słuchać, zręcznie odpowiadać, a zarazem rozkosznie się uśmiechać.

Taka opinja ustaliła się odrazu wśród roju młodzieniaszków, który ją otoczył. Nie pchałem się tam zbytnio do tej ciżby, tembardziej że w owym czasie byłem chwilowo zaangażowany nieco w innym kierunku. Na jednym jednak z wieczorów prywatnych zetknąłem się bliżej z panną Lalą, która mnie zaczęła dosyć wyraźnie wyróżniać wśród asystującej jej młodzieży. Odtąd rozpoczął się między nami coraz intensywniejszy flirt, któremu kres położył dosyć znagła wyjazd panny pod koniec karnawału do Kijowa na kontrakty, dokąd śpieszył jej ojciec. Zjawiłem się oczywiście na stacji przy odjeździe panny Lali i wręczyłem jej na pożegnanie wiązankę kwiatów. Panna zdążyła mi szepnąć, że miło jej bardzo będzie, jeśli na balu polskim w Kijowie znajdę się przy jej boku, a gdy pociąg ruszał, wyjęła z bukietu nawpół rozwinięty pąk pąsowej *Gloire de Dijon*, i, dotknąwszy go ustami, dyskretnie rzuciła mi na pożegnanie wraz z powłóczystem spojrzeniem. Na tem się skończył mój flirt z piękną panną, gdyż do Kijowa nie pojechałem z powodu interesów, które mnie zatrzymywały wówczas w kraju.

Doszła mnie coś w rok potem wieść, że panna Lala poznała w Kijowie jednego z kresowych „żubrów", właściciela ogromnych obszarów leśnych w głębi Polesia, człowieka znacznie od niej starszego i wyszła za niego zamąż. Obecnie z listu Janka dowiedziałem się, że owdowiała. Hm, ileż to lat upłynęło od tego karnawału... Już całe sześć. Pani Lala ma obecnie około dwudziestu pięciu. Ciekawym też, jak teraz wygląda.

Dalsze rozmyślania przerwało mi wejście rządcy, p. Szczuki. Po wysłuchaniu relacji gospodarczej, opowiedziałem mu o treści otrzymanego świeżo listu i zapytałem go, co mi radzi. Pan Szczuka pokręcił szpakowatego wąsa, uśmiechnął się po łobuzersku i rzekł: „Tak cóż, panu trzeba jechać, przyjaciela odwiedzić, a samemu się trochę zabawić, skoro trafia się podchodząca okazja. A choćby i w pole tu u nas raniej wyjść można było, tak u mnie wszystko do siewu „przyłagodzone" i choć jutro mogę zaczynać". Panu Szczuce nietrudno było mnie zresztą przekonać, gdyż list Janka intrygował zarówno sperandą wiosennego polowania w dzikiej poleskiej głuszy, jak i zobaczenia pani Lali, a jedno i drugie przemawiało za wyjazdem.

Nie namyślając się już wiele, nadałem depeszę do Janka, że z zaproszenia skorzystam i proszę o wiadomość, kiedy rozpocznie się żegluga. Na trzeci dzień zrana nadeszła odpowiedź. Janek telegrafował, że żegluga jest otwarta i prosił o oznaczenie dnia przyjazdu. Była właśnie sobota, obliczyłem, że, jeśli wyjadę w niedzielę rannym pociągiem, to po kilkakrotnem przesiadaniu się, trafię na stację nadbrzeżną na rano w poniedziałek. W tym sensie też zaraz wysłałem do niego depeszę, a Harasymowi poleciłem wszystko przygotować do drogi.

Rankiem nazajutrz, żegnany przez p. Szczukę, który, filuternie przymrużywszy jedno oko, nie życzył mi w niczem powodzenia, ruszyłem w towarzystwie Harasyma w drogę, a o dobę później wysiadłem na małej stacyjce kolejowej, zagubionej w głębi odwiecznej puszczy. Tu oczekiwał już na mnie umyślnie wysłany na spotkanie służący Janka, który zakrzątnął się około znalezienia podwód i wkrótce znaleźliśmy się na przystani dużej rzeki, dokąd niebawem podszedł niewielki stateczek. Za chwilę byliśmy na pokładzie, stateczek świsnął i szparko ruszył w dół rzeki, która wprawdzie weszła już w brzegi, ale pełna była wody i majestatycznie toczyła swe fale. Przyglądałem się z uśmiechem memu Harasymowi, który, jako syn zielonych pól i stepów, po raz pierwszy w życiu znalazł się w środku dziewiczej puszczy leśnej i wybałuszał oczy na krajobraz po obu stronach rzeki.



Młody jeleń. Fot. A. Wiśniewski

Krajobraz ten zmieniał się co chwila: to raz brzegami ciągnęły się nieprzejrzane i nieprzebyte błota i trzęsawiska, to znów w wyższych miejscach strzeliście wznosił się ku górze odwieczny bór sosnowy, podszyty gęsto z dołu i przeplatany gdzieniegdzie drzewami liściastemi. Harasym odrazu wszedł w komitywę ze służącym Janka i choć jeden mówił po rusińsku, a drugi po białorusku, jednak rozumieli się jakoś wcale dobrze, a służący Janka udzielał Harasymowi objaśnień co do puszczy. Z wody przed nami porywały się co chwila stada kaczek i innego przelotnego ptactwa wodnego, krążąc często ponad naszemi głowami. Kazałem Harasymowi wyjąć z pudełka jedną z moich dwudziestek Lebeau i podać sobie kilka „superlongue'ów" z Nr. 3-im hartśrutu. Kapitan stateczku, jak się okazało, myśliwy, przysiadł się do mnie i nawiązał rozmowę. Niebawem z nad ściany wysokiego boru nad przeciwległy brzeg rzeki wypłynął duży jastrząb i pociągnął nad statkiem wpoprzek naszej drogi. Meta była duża, ale wierzyłem w moją dwudziestkę, złożyłem się więc starannie i jastrząb, trafiony centrownie, ze zwiniętemi skrzydłami, jak kula, runął w dół. Po chwili bocznym strzałem ściąłem przelatującego kaczora, a wkrótce potem, gdy statek wyszedł z lasów na duże rozlewisko, nadleciało dosyć nisko stado gęsi, z którego zdążyłem wytrącić dubletem dwie sztuki, które z wielkim chlupotem spadły do wody. Stateczek skręcił nieco i jeden z majtków osadzoną na długim drążku siatką podniósł zwierzynę z wody. Zrobiłem z niej prezent kapitanowi.

Po trzech mniej więcej godzinach dobiliśmy do kresu podróży i po wylądowaniu na brzeg wpadłem w objęcia Janka, który na mnie oczekiwał na przy-

stani. Chłopak zmężniał i nieco rozrósł się w barach, ale jeszcze bardziej wyprzystojniał, a z oczu mu świecił ten sam zawsze zawadjacki animusz burszowski.

Zajęliśmy miejsca w jednym wózku, ludzie nasi z rzeczami umieścili się na drugim i ruszyliśmy naprzód po niezbyt błotnistej z racji lekkiego gruntu drodze, która wkrótce weszła w odwieczny, masztowy las sosnowy.

„Setny jesteś chłop, żeś zdecydował się przyjechać" — rzekł do mnie Janek, „skoro tylko otrzymałem Twoją pierwszą depeszę, zaraz dałem znać do Białego Brodu, że przyjeżdżasz. Panie obie były bardzo ucieszone i prosiły mnie, żebym je natychmiast zawiadomił, kiedy przybędziesz. Wczoraj właśnie wrócił stamtąd mój posłaniec i przywiózł mi list, w którym pani Lala pisze, że jutro na wieczór przyśle po nas swoją motorówkę, abyśmy zaraz zrana ruszyli do Białego Brodu. Dziś u mnie przed zachodem słońca pójdziemy na słonki, a jutro przed świtem na toki cietrzewie; koguty grają zapamiętale. A jeśli chcesz pospać po podróży, to odłożymy toki na Biały Bród, a dniem pojedziemy w głąb lasu, pokażę Ci żeremia bobrów. Muszę Cię przytem wprowadzić w generalja.



Zniekształcona racica jelenia. Fot. A. Wiśniewski.
(Do art. na str. 398).

Pani Lala niedługo cieszyła się pożyciem z mężem, bo coś w rok po ślubie zaziębił się na polowaniu i tknięty paraliżem dogorywał powoli przez dwa lata, a pani Lala spełniała przy nim rolę *garde-malade'y*. Że zaś zadurzony był w niej bez pamięci, przeto zapisał jej najformalniej całe swe olbrzymie dobra leśne, wraz z tartakami, terpentyniarniami etc., porobiwszy niewielkie stosunkowo legaty dla bliższych i dalszych krewnych. Pani Lala jest dziś panią całą gębą, choć od roku coprawda zrzadka tu przesiaduje, spędzając czas głównie w Odesie lub zagranicą. Wdówka jest urocza, wypoczęta i spragniona życia. Pani Patra, jej przyjaciółka, nie ustępuje jej w urodzie, ale to zupełnie inny typ!... Roześmiałem się na to serdecznie, zaznaczając, że doskonale rozumiem, iż Janek zastrzega sobie ten „rewir" na swoją wyłączną własność, mnie pozostawiając panią Lalę, wyraziłem więc oczywiście zgóry całkowitą moją zgodę na taki podział „kniei".

W ten sposób dowcipkując i wspominając dawne studenckie czasy, minęliśmy po drodze kilka przysiadłych do ziemi leśnych wiosek, witani ukłonami przez spotykanych poleszuków, kudłatych i obrosłych, obutych w łapcie i ubranych w kożuchy i baranie czapy, poczem wkrótce podjechaliśmy pod stojący w głębi sporego parku, ładny dwór piętrowy, witani u podjazdu przez jazgot całej sfory psów.

Wieczorem tegoż dnia byliśmy na ciągach; słonek było sporo i wróciliśmy z kilkunastu upolowanemi sztukami, oprócz tego Janek zabił wspaniałego leśnego orła, który nań zbliska nadleciał.

Na drugi dzień wybraliśmy się po dobrem śniadaniu, w miarę zakropionem kilkudziesięcioletnią starką, w głąb borów, nad leśną rzeczkę, gdzie miały bobry swe żeremia. Bobrów wprawdzie nie udało się nam podpatrzyć, ale z ciekawością przyglądałem się ich wystającym nad wodą budkom, ulepionym z błota, sitowia, łozy i różnych patyków. Pokazał mi też Janek nadgryziony świeżo przez bobry pień młodej olchy, którą widocznie zamierzały zwalić dla wzmocnienia swej grobli zastawowej. Pień był wkoło nadgryziony tak precyzyjnie, że roboty tej nie powstydziłby się zawodowy tracz.

Pod wieczór dano nam znać z przystani, że przybyła z Białego Brodu motorówka. Przez cały wieczór zabawialiśmy się oglądaniem trofeów myśliwskich, dwór był bowiem pełen rogów jelenich, sarnich i łosiowych wieńców, łbów dziczych i skór rysi, wilków i niedźwiedzi. Były też dwa okazy doskonale wypchanych bobrów.

Po wysączeniu pękatej, pokrytej mchem starości butelki węgrzyna, poszliśmy w bajecznych humorach na spoczynek, sprawdziwszy z ukontentowaniem, że barometr idzie na stałą pogodę.

Rankiem około 8-ej zbudziłem się na głos trąbki i wkrótce wszedł do mnie mój Harasym, meldując, że „panycz" już wstał i czeka ze śniadaniem.

W dwie godziny później znaleźliśmy się już w obszernej motorówce, która lotem strzały poniosła nas z wodą.

Podróż trwała niedługo i niebawem na zakręcie rzeki zamajaczyła przed nami obszerna przystań, na której dojrzeliśmy czekające na nas ekwipaże. Wsiedliśmy do tarantasu, służący nasi z pakunkami umieścili się na wózku i raźno pomknęliśmy dobrze utrzymanym traktem leśnym, a po pół godziny drogi, minąwszy rozległą wieś i jakieś budynki fabryczne, wjechaliśmy w długą aleję świerkową i poprzez gustowną bramę wpadliśmy na obszerny dziedziniec przed starym, ogromnym pałacem, otoczonym wieńcem rozłożystych drzew różnego rodzaju.

Na nasze spotkanie wyskoczyła służba w strzeleckiej liberji, pomagając nam wysiąść. Ledwo zdążyliśmy w ogromnym hallu zdjąć z siebie burki podróżne, gdy wprost nas otwarły się wysokie drzwi dębowe i stanęła w nich sznytowa sylwetka pani Lali.

Jednym rzutem oka oceniłem, że wygląda, jak Junona. Pączek różany rozwinął się we wspaniały kwiat. Lazur oczu nieco jeszcze pociemniał, a koralowe usta, rozchylone w ślicznym uśmiechu, zdawały się obiecywać niebo i piekło zarazem. Witając nas, podała nam obie rączki, przyczem uczułem, że mała, wypieszczona i pachnąca rączka, którą poniosłem do ust, ścisnęła moją dłoń mocniej i dłużej, niżby to wypadało na konwencjonalny *schack-hand*. Jak na uwerturę, zaczyna się wcale nieźle — pomyślałem przelotnie.

„Piotrze" — odezwała się pani Lala do stojącego obok pełnego dostojeństwa kamerdynera — „proszę zaprowadzić panów na górę do ich pokojów, a jak ogarną się panowie po podróży" — dodała, zwracając się do nas — „prosimy zaraz schodzić do jadalni na śniadanie".

Po kwadransie czasu, poprzedzani przez Piotra, weszliśmy poprzez kilka salonów do obszernej jadalni, wykładanej dębem. Obie panie czekały już na nas. Rzuciłem okiem na panią Patrę. Greczynka była trochę niższa od pani Lali i nieco szczuplejsza. Lat mogła mieć około 30. Krucza brunetka, o czarnych, przepaścistych oczach i matowo-białej twarzy, na której karminowym kontrastem znaczyły się mocne w wyrazie, ślicznie zarysowane usta, miała w całej swej wężowo gibkiej postaci coś niesłychanie kuszącego i zmysłowego zarazem.

Bogini Astarte — nasunęło mi się porównanie.

Po dokonanej prezentacji zasiedliśmy do stołu, a po kilku kieliszkach humory rozkrochmaliły się na tyle, że rozmowa, dzięki ciągłym dowcipom Janka i pani Patry, strzelała co chwila racami śmiechu.

(Dok. nast.).

St. Pr. W.

PERSPEKTYWA HODOWLI ŻUBRÓW W POLSCE.

Kiedy 12 lat temu, na skutek szlachetnej inicjatywy zmarłego Jana Sztolcmana, skrystalizowanej w formie Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra, wytknięto sobie w Europie plan odrodzenia tego w nielicznych resztach pozostałego gatunku, Polska — choć ojczysty kraj żubra — stała daleko na szarym końcu. Wojna i jej bezpośrednie następstwa doprowadziły do wyginięcia 785 żubrów w Puszczy Białowieskiej i zmniejszenia się stada w Pszczynie z 74 do 3 sztuk.

Szczęśliwe losy i troskliwa opieka Zarządu Lasów na Pszczynie sprawiły, że z tych 3 pozostałych sztuk i to 19-letniej krowy i dwu kilkoletnich byków odrodziło się to stado, liczące obecnie 10 sztuk.

Inicjatywę czynnego poparcia haseł wprowadzenia żubra do innych części Polski pierwszy zrealizował Ogród Zoologiczny w Poznaniu, zakupując w roku 1924 dwie sztuki czystej krwi: krowę i stadnika. Zwierzęta te (Hagen i Gatczyna) jednak, sterane długoletniemi wędrówkami po ogrodach zoologicznych — choć nienazbyt podeszłe w wieku (urodzone w 1911 roku), zawiodły pokładane w nich nadzieje, nie pozostawiając — mimo przewiezienia ich w roku 1931 do Białowieży — żadnego po sobie potomstwa.

Dalszą realizację idei przywrócenia żubra Polsce podjęła w roku 1929 Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych, zakupując 7 sztuk żubrów za pośrednictwem Hagenbecka. Ponieważ w roku 1930 stwierdzono, że tylko 3 sztuki z zakupionych (2 krowy i 1 stadnik) są żubrami krwi czystej, natomiast dalsze 4 (2 byczki i 2 krowy) — mieszańcami z krwią bizonów i bydła stepowego, przeto w rezultacie osadzono w wydzielonym na terenie Puszczy Białowieskiej 22-hektarowym zwierzyńcu (w 1931 r. rozszerzonym do 51 ha) tylko 1 stadnika czystej krwi, wtedy 2-letniego B o r u s a, 2 krowy czystej krwi: B i s e r t ę — wtedy 6-letnią i B i s k a j ę — 3-letnią oraz 2 krowy z domieszką krwi bizonów: S z t o l c e (5-letnią), oraz F a w o r y t ę (3-letnią).

Wspólne umieszczenie żubrów czystej i nieczystej krwi wynikało ze względów technicznych oraz wspólności stadnika, którym — w myśl zasad hodowli mieszańców, przyjętych przez Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubrów — mógł być jedynie osobnik czystej krwi.

To są w ł a ś c i w e f u n d a m e n t y podjętej w odrodzonej Polsce rekonstrukcji białowieskiego stada żubrów.

Epizodem bez wpływu na bieg rozwojowy tej hodowli było zakupno i przewiezienie do Białowieży w roku 1931 pary żubrów czystej krwi z Poznania, o czem wspomniałem wyżej.

Chcąc po 5 latach zreasumować wyniki uzyskane w Białowieży, wystarczy przedstawić obecny stan pogłowia tej hodowli.

Obecnie mamy w Białowieży:

Z ż u b r ó w k r w i c z y s t e j: sztuk 11, w czem 5 stadników.

Z ż u b r ó w k r w i n i e c z y s t e j: sztuk 7, w czem 1 stadnik wyeliminowany z hodowli i umieszczony w Zoo Warszawa.

Razem tedy dysponujemy obecnie na terenie Białowieży materjałem hodowlanym, złożonym z 17 s z t u k. Ponieważ ż u b r y n i e c z y s t e j k r w i stanowiły tylko materjał zastępczy na wypadek niepowodzeń w hodowli sztuk czystych, przeto analiza tego materjału hodowlanego nie ma szczególniejszego znaczenia dla kwestji odrodzenia żubra czystego gatunkowo; zaznaczyć jednak trzeba, że nasze mieszańce są t r z e c i e m l u b c z w a r t e m p o k o l e n i e m od momentu skrzyżowania, a pod względem e k s t e r j e r u przedstawiają naogół typ p r a w i e c a ł k o w i c i e ż u b r z y, co nie jest regułą w stosunku do wszystkich 122 mieszańców żubrzych, notowanych obecnie w Europie.

Jak wiadomo, żubry przed wojną znane były z dwu reliktowych stanowisk pierwotnych: w Białowieży i na Kaukazie; stąd Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra wyróżniło odrębne linje hodowlane: b i a ł o w i e s k ą (znaczona w księgach rodowodowych czerwono) i k a u k a s k ą (zielono); obok tych dwu linij zasadniczych przyjęło Towarzystwo również dwie inne: p s z c z y ń s k ą dla żubrów hodowanych od roku 1872 w odrębności rodowej w Pszczynie (znaczone niebiesko) i t. zw. o g r o d ó w z o o l o g i c z n y c h (znaczone w księgach rodowodowych czarno), do której zaliczono sztuki, których rodowodów z zupełną ścisłością odtworzyć się nie dało.

Aby módz sprecyzować plany h o d o w l a n e A d m i n i s t r a c j i L a s ó w P a ń s t w o w y c h konieczne jest przedstawienie a n a l i z y p o s i a d a n e g o p o g ł o w i a na tle takiej analizy istniejących poza Polską pogłowi żubrów — w ramach powyższego podziału na linje hodowlane.



„Puhacz", pierwsza latorośl białowieskiego stada żubrów w niepodległej Polsce. Fot. dr. J. J. Karpiński.

Z pośród 11 sztuk czystej krwi żubrów, pozostających w Białowieży — 7 sztuk należy do l i n j i k a u k a s k i e j, posiada jednak poważne domieszki krwi białowieskiej, a mianowicie: B o r u s — obecnie 8-letni (po babce czysto-białowieskiej) i jego potomstwo urodzone w Białowieży: stadniki: P u h a c z (5 lat), P u k (2 lata), P u p i l (1 rok), oraz jałówki: P u m a (1 rok), P u p i l k a (tegoroczna) i P u s t a (tegoroczna). Ponieważ potomstwo Borusa pochodzi od matek, należących do linji białowieskiej (o czem będzie niżej), przeto u nich i l o ś ć k r w i b i a ł o w i e s k i e j w y r a ź n i e s i ę w z m o g ł a. C z t e r y pozostałe sztuki są c z y s t o b i a ł o w i e s k i e z pochodzenia: dwie z nich to B i s k a j a i B i s e r t a, o których była mowa wyżej, pozostałe dwie to sztuki niedawno (w marcu r. b.) sprowadzone ze Szwecji, również białowieskiego pochodzenia: B i l m a, urodzona w roku 1913 w Białowieży i syn jej 5-letni B j ö r n s o n — zresztą brat rodzony Biskai i Biserty.

Umyślnie przy przedstawianiu etapów rozwojowych powojennej hodowli w Białowieży pominąłem sprawę sprowadzenia Bilmy i Björnsona, aby na tle analizy białowieskiego pogłowia była ona zrozumialsza.

Otóż wszystkie 4 nasze sztuki, należące do linji białowieskiej, są jedynymi na świecie potomkami, w prostej linji i bez żadnych obcych domieszek, dawnych żubrów białowieskich.

To stwierdzenie wyjaśnia i uzasadnia fakt, że — dzięki życzliwej inicjatywie i pomocy w pertraktacjach z Ogrodem Zoologicznym w Sztokholmie, p. Erny Mohr, prowadzącej księgi rodowodowe Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra oraz d-ra Jana Żabińskiego, prezesa Polskiego Oddziału tego Towarzystwa, przeprowadzona została przez Administrację Lasów Państwowych wymiana jałowic Pustułki (lat 4) i Pustelnicy (lat 3) — obydwu od Borusa i Biskai — na Bilmę i Björnsona.

Datę marca r. b. możnaby śmiało postawić, jako równorzędną obok daty listopada 1929 roku, t. zn. daty sprowadzenia pierwszych żubrów do Białowieży. Zamyka ona bowiem w sposób najpełniejszy, w granicach osiągalnej możliwości, pierwszy etap rozwojowy powojennej hodowli białowieskiej.



„Bilma", ostatni żyjący na świecie żubr, który urodził się w przedwojennej hodowli w Białowieży. Fot. dr. J. J. Karpiński.

Z tego epizodu wynika pierwszy postulat dalszej hodowli: utrzymać dzisiejsze stado czterech sztuk pochodzenia białowieskiego, jako początek, na którym oprzeć się musi przyszła odbudowa rodu żubra w Białowieży.

Drugim postulatem, pozostającym z pierwszym w stosunku wynikowym, byłoby osobne traktowanie hodowli grupy siedmiu sztuk pochodzenia kaukaskiego.

W miarę wzrostu obydwu grup i możliwości technicznych, byłoby w dalszej przyszłości wskazane utworzenie osobnego ośrodka hodowlanego dla żubrów czystej krwi pochodzenia kaukaskiego; ośrodek ten powinien znajdować się w warunkach bardziej zbliżonych do tych, jakie miały żubry na Kaukazie — dla optymalnego wyzyskania w hodowli cech odpowiadających środowisku

Możnaby myśleć o Puszczy Niepołomickiej, lub też o przyszłym Parku Narodowym na Babiej Górze, położonym obok miejscowości na Orawie, nie bez powodu noszących miana: Żubrzycy Górnej i Dolnej. Zresztą rozdział materjału hodowlanego między szereg ośrodków wskazany jest też w świetle zabezpieczenia się przed skutkami chorób epidemicznych.

Oczywiście podstawowym postulatem, który wymieniam na tem miejscu dlatego, że jest on już w początkowem stadjum realizacji, jest wyeliminowanie żubrów nieczystej krwi z ośrodka białowieskiego. Jakkolwiek przy systemie opieki w tym ośrodku, opartym zarówno na ludziach praktycznie z czasów przedwojennych obeznanych z hodowlą żubrów, jak też i na fachowym czynniku weterynaryjno - hodowlanym, nie zachodzi możliwość jakichkolwiek zawikłań i spaczeń, a nawet wątpliwości w sprawach produkcji młodych żubrów i mieszańców, — jednak, w miarę wzrastającego ilościowo pogłowia, utrzymanie czystej linji hodowlanej będzie coraz trudniejsze praktycznie, z drugiej zaś strony przeciwko łącznemu utrzymaniu żubrów czystej krwi i mieszańców, wysuwane są często zasadnicze zarzuty przez ortodoksyjne sfery hodowlane i przyrodnicze.

Drugi ośrodek hodowlany, przeznaczony dla żubrów mieszańców, przygotowany został w roku ubiegłym w miejscowości Książ w pobliżu Tomaszowa Mazowieckiego, w masywie lasów Spalskich (w nadleśnictwie Smardzewice). Na obszarze około 25 ha drzewostanów mieszanych, przeciętych polankami — zamknięto wspólnem ogrodzeniem cztery zagrody hodowlane ze wszystkiemi urządzeniami, zapewniającemi zwierzętom zdrowe warunki bytowania, zabezpieczenie przed chorobami zaraźliwemi oraz dostateczną opiekę. W jednej z zagród utrzymywane są bizony kanadyjskie w liczbie 1 stadnika, 3 krów około 3-letnich i 1 miesięcznej jałówki. Bizony te są zeszłorocznym darem Polonji Kanadyjskiej dla Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Choćby przejściowa hodowla czystej krwi bizonów może zapewnić przyszłemu ośrodkowi mieszańców dostateczną ilość matek-bizonic do pokrywania przez stadniki-żubry.

To byłyby trzy zasadnicze kierunki wytyczne, jakie w chwili obecnej stawia sobie w dziedzinie hodowli żubrów Administracja Lasów Państwowych.

Ponieważ jednak w dzisiejszym rozmiarze zagadnienia odrodzenia żubra, jako gatunku zoologicznego, jak również z uwagi na charakter tego zagadnienia, niemożliwe są działania hodowlane wyłącznie w obrębie jednego tylko ośrodka, w izolacji od innych ośrodków w kraju, a nawet zagranicą, — przeto zarysowuje się już teraz szereg zagadnień narazie drugoplanowych, które w pewnych okolicznościach mogą wysunąć się na czoło polityki hodowlanej.

A więc sprawa stadników. Obecnie stosunek ilościowy stadników i krów w Białowieży, uwzględniając przyszły podział na trzy osobne hodowle, jest taki, że najmłodsze stadniki, które jeszcze mają 2 — 3 lata do okresu dojrzałości — nie mają przeznaczenia. Ze względu na wartość hodowlaną Borusa, jak również wyjątkowo dobre warunki naturalne w Białowieży, liczyć się trzeba z tem, że będzie istniało zapotrzebowanie zagranicy na jego męskie potomstwo; oczywiście nie można zapomnieć o niezbędnych w hodowli tego rodzaju stadnikach rezerwowych.

Z drugiej strony leżałoby w interesie hodowli krajowej, aby obydwa ośrodki prywatne, jakiemi są największe w kraju ogrody zoologiczne:

w Warszawie i Poznaniu, przeszły z roli ośrodków pokazowych do hodowlanych, o ile chodzi o żubra. Wiemy, że to, iż obecnie posiadamy 70 żubrów czystej krwi i 120 szt. mieszańców, zawdzięczać możemy w pierwszym rzędzie ogrodom zoologicznym, które, hodując żubry przed wojną i wkrótce po niej, umożliwiły na zmobilizowanie rozporządzalnej ilości tych zwierząt i przejście do hodowli zwierzyńcowej. Toteż posiadane przez polskie ogrody zoologiczne stadniki mieszańce powinny być w przyszłości likwidowane, a na ich miejsce przychodzić nadliczbowe stadniki czystej krwi i ze stojącemi do dyspozycji bizonami produkować mieszańce.

Gorzej, niż w Białowieży, przedstawia się sprawa ze stadnikami w Pszczynie. O ile pewne są materjały, jakimi dysponuję, stosunek stadników do krów przedstawia się tak, jak 1 : 1. Ponieważ tam miarodajny jest jedynie problem hodowli w czystości rodowej — dopóki niemożliwe jest wprowadzenie stadnika linji białowieskiej dla odświeżenia krwi, przeto nadliczbowość stadników jest tam wyraźna, choć — ze względu na niski wiek trzech z nich (na pięć)—jeszcze mało aktualna. Jednak z tej strony liczyć musi na ewentualny sukurs w razie potrzeby — ośrodek białowieski. Björnson jest sztuką młodą, niepoznaną pod względem reprodukcyjnym, a jego najbliższe towarzyszki są mu bliskie pokrewieństwem.

Drugim problemem, który będzie w niedługim czasie wymagał zastanowienia się, będzie sposób rekonstrukcji czystej linji kaukaskiej na terenie polskich hodowli, czyli inaczej sposób wyzyskania posiadanego materjału hodowlanego, t. zw. zielonego. Jak wyżej wspomniałem — Borus, będąc kaukazczykiem (czysto zielonym), według księgi rodowodowej, w rzeczywistości posiada w sobie nieco krwi białowieskiej. Jego potomstwo (oczywiście krwi czystej), przez pochodzenie od czysto białowieskich (czerwonych) matek — krwi tej (t. zw. białowieskiej), posiada jeszcze więcej. Łączenie tych krów zielonych z czerwonem podkreśleniem (jak są one oznaczane w księgach rodowodowych), ze stadnikiem krwi białowieskiej (więc np. z Björnsonem) — doprowadzić mogłoby, jeżeli nie w pierwszem, to w następnem pokoleniu, do całkowitego zbiałowieżenia dalszego potomstwa (w księdze rodowodej czerwonego) — w myśl przyjętych zasad hodowlanych. Przyjęcie tej ewentualności stawiałoby potrzebę pewnej stopniowości we wprowadzaniu w życie wyodrębniania grupy kaukaskiej, o czem była wyżej mowa.

Wszystkie te problemy, jak i przyjęte kierunki wytyczne, występują wyraziściej i bardziej przekonywająco na tle systematycznego przedstawienia wyników już nietylko hodowli krajowych, ale w całej Europie, a więc i na świecie.

W skali tej ujęte nasze zdobycze nie przedstawiają się źle. Nie mówiąc już o stanie z przed lat pięciu, ale nawet ograniczając się do ostatnich trzech lat. W chwili obecnej Polska przoduje ogólną ilością żubrów (21), obok Niemiec; skupia na swym terenie wszystkie białowieskie żubry i to zarówno linji białowieskiej, jak i pszczyńskiej, posiadając w tej dziedzinie wyłączność; z linji kaukaskiej posiada młode i dobrze zbudowane sztuki, poszukiwane na rynku hodowlanym. Polska posiada też najbardziej zwarte, liczebnie silne i najlepiej zorganizowane hodowle, co zresztą wynika z jej charakteru, jako ojczystego kraju żubra w najniedawniejszej stosunkowo przeszłości.

Jeżeli chodzi o obce ośrodki hodowli żubrów czystej krwi, to w sumie najpoważniej przedstawiają się Niemcy, mając ilość żubrów równą Polsce, jednak rozdrobnioną na szereg mniejszych hodowli. Hodowla angielska liczebnie również silna, posiada materjał hodowlany li tylko z linji ogrodów zoologicznych, a więc niepewny co do pochodzenia. Obydwa te kraje posiadają skłonność do produkcji ilościowej (duże ilości mieszańców), z pominięciem nawet zasad eliminacji stadników krwi nieczystej, co podważa zaufanie do pochodzenia młodzieży. Wszystkie inne hodowle są drobne i zaczątkowe.

Reasumując te porównania, możemy zakończyć stwierdzeniem, że bilans hodowli żubra uzasadnia najlepsze nadzieje.

J. KOSTYRKO.

Na rannym podchodzie.

Przechował się wśród gąszczy lat sześć pewnie zgórą,
Przecierpiał srogie zimy, przetrwał wiosen braki;
Wymykał się z obieży, cieszył całą skórą
I z głową uwieńczoną deptał leśne szlaki.

A gdy po dnia przebiegu mrok siadał nad lasem,
Opuszczał żwawy, głodny swych marzeń przybyłek,
Dążąc cicho, ostrożnie na łączkę, co pasem
Długim i wonnym biegła, gdzie miał strawy zbytek.

Aż raz huk straszny, poświst i szelest złowrogi
Wygonił go z pastwiska i odwagę zabrał,
Więc spróbował o świcie, jeszcze drżący z trwogi,

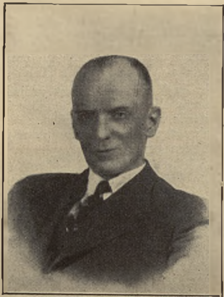
Pożywić się czemkolwiek, by nowych sił nabrał...
Na nic się wszystko zdało; nie darmo się trwożył,
Bo dostał kulę w serce i w mchach się położył...

WŁADYSŁAW GÜRTLER.



JUBILEUSZ ŁOWIECKI.

Dnia 20 czerwca r. b. odbyła się w Wilnie, w lokalu T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich, biesiada myśliwska, poświęcona uczczeniu X-lecia pracy społeczno-łowieckiej p. Michała K. Pawlikowskiego, wiceprezesa Tow. Łow. Ziem Wschodn. i redaktora „Trąbek Myśliwskich" (dodatku łowieckiego do „Słowa" w Wilnie). Z powodu żałoby narodowej uroczystość nosiła charakter cichy i skromny. Jednak w obszernej sali Klubu Myśliwskiego zebrało się grono kilkudziesięciu osób z pośród wileńskiej Rodziny Łowieckiej, najbliższych przyjaciół i współpracowników Jubilata, oraz zaproszonych gości.



Michał K. Pawlikowski.

Biesiadę zagaił p. Prezes inż. B. Świętorzecki, streszczając w krótkiem przemówieniu zasługi Jubilata na polu propagandy ideowego łowiectwa, krzewienia kultury myśliwskiej na kresach, oraz literatury i publicystyki łowieckiej. Po przemówieniu p. Prezes wręczył Jubilatowi artystycznie wykonany, w skórę oprawny adres z obrazkiem myśliwskim „kreską kolorową" Włodzimierza Korsaka oraz podarunek jubileuszowy od myśliwych wileńskich — dubeltówkę firmy „Seam".

Adres brzmi: „Michałowi K. Pawlikowskiemu, wiceprezesowi Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, redaktorowi „Trąbek Myśliwskich", ku uczczeniu 10-lecia Jego pracy społeczno-łowieckiej — 1925—1935", oraz zawiera podpisy następujących myśliwych Ziem Wschodnich z podpisem p. Władysława Raczkiewicza, Marszałka Senatu na czele: — Władysław Raczkiewicz, Bolesław Świętorzecki, Jan Tyszkiewicz, Andrzej Węcławowicz, Michał Borowski, Karol Erdman, Włodzimierz Korsak, Jan Borowski, Ignacy Borowski, Iwo Bochwic, Stanisław Brochocki, Zygmunt Buyko, Stanisław Eynarowicz, Mieczysław Goryniewski, Przemysław Grodzki, Eugenjusz Falkowski, Wincenty Łuczyński, Michał Łukaszewicz, Mieczysław Maliński, Wiesław Światopełk-Mirski, Wiktor Niedźwiecki, Stefan Obuchowicz, Stanisław Plater-Zyberk, Józef Pawłowski, Stanisław Piotrowski, Marjan Radecki-Mikulicz, Aleksander Ronczewski, Andrzej Rostworowski, Aleksander Sołtan, Karol Świętorzecki, Leon Sumorok, Justyn Strumiłło, Bolesław Sulima-Samujłło, Andrzej Tyszkiewicz, Karol Wagner, Henryk Wańkowicz, Zygmunt Węcławowicz i Tomasz Zan.

Następnie przemówił dłużej p. mecenas Eugenjusz Falkowski. Myślistwo dzisiejsze — zdaniem mówcy — przechodzi ostry kryzys: z piedestału dawnych wielkich łowów stacza się na poziom sportu strzeleckiego, zatracając coraz bardziej najistotniejsze swe elementy — poezję i piękno. Mówca zakończył przemówienie złożeniem hołdu uznania pracy łowieckiej p. M. K. Pawlikowskiego, jako myśliwego, który, wkładając w pracę tę serce, kultywuje piękno i poezję łowiectwa tu na kresach, gdzie ostały się jeszcze piękne tradycje starodawnych łowów.

Jubilat odpowiedział, jak następuje:

— Jestem głęboko wzruszony. Ze wstydem przyznaję się, że w głębokiem mojem przekonaniu nie zasłużyłem ani na usłyszane przed chwilą słowa uznania dla mej skromnej pracy, ani zwłaszcza — na nagrodę z rąk Państwa. Jeżeli pracę moją na niwie łowieckiej traktować, jako pracę społeczną, to cóż znaczy ten krótki okres lat 10-ciu? Dlaczego właśnie po 10-ciu latach spotyka mnie z rąk Państwa tak piękna i zaszczytna nagroda? Chyba tylko dlatego, że — jak większość działaczy łowieckich — należę do pokolenia przedwojennego, a lata wojny i gorączkowe lata powojenne liczą się podwójnie... Jeżeli, jak to się czasem robi, sprzęgnięcie się człowieka z umiłowaną pracą porównywać z zaślubinami — to i w tym wypadku nie rozumiem dlaczego już po dziesięciu latach od dnia tych „zaślubin" honorować kogoś i nagradzać?... W prawdziwych małżeństwach obchodzimy gody złote i srebrne, lecz nie dziesięcioletnie. Chyba, że w czasach dzisiejszych należy uważać, iż wytrzymanie dziesięciu lat przy boku jednej kobiety, to dużo... Ale, proszę Państwa, moja praca łowiecka nie jest w mojem głębokiem przekonaniu ani pracą społeczną, ani „zaślubinami". Jest to poprostu manja prześladowcza — choroba, z którą się urodziłem i z którą umrę. Nie wiem, czy z punktu widzenia higjeny społecznej dobrze jest nagradzać kogoś za manję prześladowczą... Dlatego też nagroda z rąk Państwa naprawdę zawstydza mnie. Jestem tak wzruszony, że uczucia, które mną w tej chwili miotają, streścić mogę w tych tylko nieudolnych, prostych wyrazach: — Dziękuję Państwu z całego serca!

Przemówienie Jubilata zebrani spotkali gorącemi oklaskami, poczem biesiada jubileuszowa w nastroju miłym i serdecznym przeciągnęła się do późna.

A. W.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na trzeci kwartał b. r., lub na miesiąc lipiec.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**

W OBRONIE HODOWLI POINTERÓW O WALORACH POLOWYCH.

Zapewne po przeczytaniu tytułu niniejszego artykułu Szan. Czytelnicy powiedzą: Co za dziwny tytuł! Mogą nawet powiedzieć: — paradoks. I będą mieli słuszność. Jakto, czyż zachodzi potrzeba bronić psy myśliwskie o walorach polowych?

Otóż spieszę wyjaśnić, że jest to odpowiedź na artykuł p. J. Babińskiego, zam. w Nr. 19 „Łow. Pol.", który wprowadził mnie w zdumienie i zmusił do tego tytułu.

Doprawdy nie rozumiem o co p. Babińskiemu właściwie chodzi.

Powiada p. Babiński, że wymienione przezemnie hodowle Marbiel i Splendor hodują „mieszańce".

Jak to sobie Sz. Autor wyobraża?

Jeżeli mamy nazwę „mieszaniec" rozumieć tak, jak to w ogólnej hodowli jest przyjęte, t. j. krzyżówkę dwóch ras — a tak wynika ze słów p. Babińskiego, bo mówi o „domieszce krwi" — to należy wątpić, czy hodowcy tej miary, co W. Marr, albo hodowcy szwedzcy, jak profesor J. Lundberg, E. Akerlund i in., od których wzięły materjał hodowlany dwie wymienione nasze psiarnie, posiłkowali się krzyżówkami.

Zresztą wiemy z historji pointera, choćby według słów takiego znawcy tej rasy, jakim był W. Arkwrith, że nikt od blisko stu lat nie wprowadza obcej krwi do pointera. Przypuszczać należy, że to twierdzenie p. Babińskiego wypływa ze słabego obznajmienia się z ogólno światową hodowlą pointera.

I jeszcze jedno, przecież psy p. Babińskiego są blisko spokrewnione z temi hodowlami, a jego niedawno nabyty Blackfield Golf jest bardzo bliskim krewnym Blackfield Edith; czy to też są „mieszańce"? Więc jakże to mamy rozumieć? Jedne psy, sprowadzone od W. Marra, są wolne od domieszki krwi obcych ras, a sprowadzone przez kogoś innego z tejże hodowli W. Marra i blisko spokrewnione z pierwszemi mają domieszkę krwi obcych ras? W każdym razie jest to dość śmiałe twierdzenie.

Naturalnie, w każdej hodowli muszą być osobniki lepsze i gorsze, lepiej zbudowane i gorzej, bo o kompletnem wyrównaniu materjału hodowlanego nie można jeszcze marzyć nietylko u nas, ale i w starszej niż nasza hodowli światowej. Są to prawa dobrze znane mendelistom.

Nie mogę również zrozumieć twierdzeń p. Babińskiego, że wymienione dwie hodowle idą drogą wytwarzania psów wyłącznie fieldtrialsowych, a będących pozatem „kundlami", „robiącemi przygnębiające wrażenie".

Po głębszem zastanowieniu się nad tem twierdzeniem wolę złożyć to na karb słabego oczytania Sz. Autora, nietylko w zagranicznych rocznikach kynologicznych, ale i w sprawozdaniach z wystaw krajowych.

Czyż bowiem taka Bolmil Prima z hodowli Splendor ze zdobytemi przez siebie na kilku wystawach wieloma złotemi medalami, a nawet w 1934 roku otrzymująca obok czterech złotych medali cenną nagrodę T. H. P. M. dla najlepszej polowej suki, jest według słów p. Babińskiego mało typowym pointerem, a nawet „mieszańcem"? I może takim również jest jej syn, Splendor Bey, również umedalowany na wystawach i zajmujący na tegorocznej pierwsze miejsce w klasie otwartej?

W tym roku trzy wystawione psy z tych dwóch psiarni otrzymują: 1) Splendor Bey dwa złote medale, a ma ich w swojej wystawowej karjerze razem sześć złotych i pięć srebrnych. 2) Splendor Warta srebrny i 3) Marbiel Ingar — dwa srebrne.

Wszystkie wystawione psy przeszły wysoko.

Blackfield Edith, otrzymała na dwóch wystawach medal srebrny i trzy bronzowe.

Gdyby p. Babiński zadał sobie trud przestudjowania roczników szwedzkiego Pointer Klubu, to znalazłby, że tak przez niego potępiony Janko w Szwecji na wystawach był też wysoko nagradzany do honorowej nagrody włącznie i że w roku 1932-im, jako reproduktor wystawowy, między czterdziestoma dwoma wymienionemi reproduktorami zajmuje ósme miejsce co do ilości zdobytych nagród na wystawach przez swe potomstwo (Svenska Pointer-Klubben, Medelande XXIX, 1933 rok str. 52), a według tego samego źródła między rokiem 1928 a 1929 dwaj jego potomkowie zdobywają nagrody na wystawach (str. 45). Córka zaś Janka i Blackfield Paine — Blackfield Jill zdobywa championaty: wystawowy i polowy we Francji.

Otóż najciekawsze, że psy tych psiarni, nagradzane wielokrotnie na wystawach u nas przez sędziów światowej sławy, jak pp. A. Stolarow i W. Marr, p. Babiński chce koniecznie zaliczyć do „mieszańców" i „kundli".



Dr. M. Łabędź dokonuje szczepienia ochronnego przeciw nosówce. (Do art. na str. 398). Fot. K. Kamieński).

Wolno każdemu stworzyć swój własny ideał, ale niekoniecznie widać odpowiadać on musi ogólnie przyjętemu ideałowi. Mogą sędziowie światowej sławy twierdzić swoje, a p. Babiński swoje, i na to rady niema.

Powiada p. Babiński, że w moim artykule operuję oceną punktową i wysokiemi miejscami, zdobytemi przez te psy na próbach polowych i że to „wywołuje uśmiech na ustach wtajemniczonych". Ależ to są wyniki osiągnięte przez te psy na próbach polowych, urządzanych przez rozmaite Towarzystwa i Kluby i oficjalnie ogłoszone przez takich znanych sędziów, jak pp. Stolarow, Marr, Horodecki i Morzkowski. I znów tutaj p. Babiński jest innego zdania.

Powiem na to tylko, że łatwiej jest „wywołać uśmiech na usta", niż zdobyć wysoką nagrodę, łatwiej wołać wielkim głosem „ostrzegam myśliwych", niż wychować psy, któreby zwyciężały.

Droga walki i zwycięstwa na próbach dla wszystkich hodowców jest otwarta, można przyjść i pokazać, co się wychowało. Zdaje się, że Marbiele i Splendory w 1934 roku, kiedy to pierwszy raz zjawiły się na próbach Sekcji Hodowli Psa Myśliwskiego przy Pol. Związku Hod. Psów Rasowych przed sędziami

pp. Stolarowem i inż. Knothem zupełnie wyraźnie zdały egzamin. A gdzie były te niedocenione przezemnie sławy?

Jeszcze jedno przeraża p. Babińskiego; powiada on: „psy te są podkasane, bez żeber i z prostym zadem". A czy nie znajduje p. Babiński, że podkasanym wyda się każdy pies o głębokiej klatce piersiowej, a tego przecież żądają wszystkie wzorce. Weźmv dla przykładu francuski — powiedziane tam: *Poitrine. — Analités — profonde, descendant à la naissance du coude ou plus bas; côtes longues et saillantes la dernière rapprochée de la hauche; c'est cette dernière condition qui constitue la profondeur.*

Défauts — poitrine manquant de descente, trop large ou trop étroite; côtes plates.

Otóż owa głębokość, schodząca do łokcia, albo niżej, daje wrażenie podkasania, ale takim pointer powinien być. Wtedy tylko można byłoby się zgodzić z p. Babińskim, gdyby klatka piersiowa przy dostatecznej głębokości nie miała żeber należycie wysklepionych, bo wtedy byłaby zamało obszerna.

Taksamo ciekawi mnie bardzo, gdzie p. Babiński widział te proste zady, o których wspomina. Czyż można sobie wyobrazić tak wielką szybkość, jaką psy tych dwóch psiarni posiadają i proste zady, — jedno z drugiem w parze nie chodzi. A już zupełnie dla mnie niezrozumiałem jest twierdzenie, że brak tym psom wytrzymałości. Mojem zdaniem, psy obecnie hodowane przez W. Marra mają wszystkie czynniki ruchu w zupełnym porządku i dlatego cieszą się tak wielką sławą w świecie, nietylko w Europie — a w świecie, bo i Ameryka niejednego psa od Marra nabyła, a tam warunki prób polowych są bardzo ciężkie.

Zgodzi się chyba mój oponent, że psy tych dwóch hodowli — to psy Marra, a już Marbiele są zdecydowanie psami marowskiemi.

Nie wiem dokładnie, jak się przedstawia ideał p. Babińskiego, ale jeżeli ten ideał, sądząc z jego artykułu, ma mieć płytką klatkę piersiową i jeszcze, żeby nie być, jak to Sz. Autor powiada, podkasanym, ma być może beczkowatym, to taki gust można podziwiać, ale od takiego psa myśliwi uciekną, gdzie pieprz rośnie.

Powiada p. Babiński, że pominąłem rozmaite nadzwyczajne psy, które występowały na próbach w 1933 roku, ależ gdzie są te psy? Dlaczego nie staną do walki z Marbielami i Splendorami? Napewno właściciele tych psiarni nie uchylą się od niej, a może wtedy wiele się wyjaśni.

Według słów Sz. Autora psy te raz tylko brały udział w próbach. A potem co? *Veni, vidi... fugi.* Słowa tu niewiele pomogą, trzeba czynów. Kto jest pewien wartości swych psów, ten zawsze zjawi się na próbach i na wystawach.

Często słyszymy: „Panie, co ja mam za psy, co za psy, oneby wszystkich tych zwycięzców w kozi róg zapędziły", a jak przyjdzie do walki, to okazuje się, że to wszystko było w sennych marzeniach, nie w rzeczywistości.

Błagam więc o pokazanie tych znakomitości, a jeżeli takiemi się okażą nietylko w marzeniach — pierwszy: *chapeau bas!* — zawołam.

KAZIMIERZ KAMIEŃSKI.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU RAWICZ

Doskonała forma, w jakiej wyszły łowiska południowej Wielkopolski z łagodnej i prawie bezśnieżnej zeszłorocznej zimy, jak również stosunkowo znaczne ilości zwierzyny, pozostawione roztropnie z świetnego zeszłorocznego sezonu, zdawały się wróżyć na rok bieżący dalszy i to znaczny przyrost zwierzostanu. Nadzieje te tembardziej wzrastały, kiedy wczesna i ciepła wiosna spowodowała wcześniejsze parkoty, a kury bażancie i kuropatwie już w pierwszej połowie maja siedziały na dobrze obniesionych gniazdach.

I radowało się serce hodowcy, w nadziei spodziewanych dobrych rozkładów jesiennych i miłych, beztroskich chwil, spędzonych wśród kniej.

Niestety nadzieje te zawiodły w całej pełni, a przyczyn było kilka. Najpierw, wraz z ukazaniem się w drugiej połowie ubiegłego roku nieopisanej ilości myszy, pojawiły się w rewirach naszych wielkie ilości mniejszych i większych drapieżników. Nigdy bodaj nie zauważyliśmy takiej ilości małych i dużych łasic, gronostajów i tchórzy, co jesienią 1933 r. Drapieżniki te, mając narazie dostateczną i łatwą zdobycz mysią, zachowywały się wzorowo, nie mogąc tembardziej wyrosłej już zwierzynie wyrządzić większej szkody. Gdy jednak w końcu lutego 1934 r. z powodu przez kilka dni panującej gołoledzi myszy nagle masowo wyginęły, małe drapieżniki, zanim opuściły nasze gościnne rewiry, poczyniły wielkie spustoszenia wśród młodych marcowych zajęcy i świeżo wylężonych piskląt naszego ptactwa łownego. Marcowe lęgi zajęcy, które jak wiadomo, decydują zazwyczaj o dobrych jesiennych pokotach, były stracone.

Kury, coprawda, usiadły ponownie na gniazdach, lecz i tu długotrwała susza zmusiła je do opuszczenia gniazd w poszukiwaniu za wodą, przez co, wskutek zaziębienia, duża ilość gniazd ponownie uległa zagładzie. Na domiar złego, spowodowane suszą, dużo wcześniejsze żniwa przyniosły w skutkach wykoszenie wśród zbóż tych jeszcze gniazd, gdzie kury-matki, mimo braku wody i piekącego słońca, sumiennie wytrwały na posterunku.

Sarny, które wśród zielonych zbóż i okopowizn dosyć jeszcze znajdowały wilgoci, dość długo trzymały się dobrze, dopiero w czasie rui po większej części pochorowały się na ciężką biegunkę i jakkolwiek tylko sporadycznie znajdowało się padłe sztuki, to jednak znać było po nich znaczne osłabienie, schudły nadmiernie i stały się płochliwe i niespokojne. Poprawy poroża, mimo zakazu strzelania kozłów już w roku 1933 i starannej selekcji w roku ubiegłym, niestety zauważyć nie mogłem.

Tak więc, sumarycznie biorąc, rok, który z początku zapowiadał się świetnie, skończył się nieomal klęskowo. Dowiodły tego dobitnie jesienne rozkłady. Dały one w rezultacie 30—40% zeszłorocznych rozkładów, a nie brak i takich rewirów, których rezultat nie dosięgnął nawet 25% zeszłorocznego poziomu. Wśród kuropatw naogół ubijano na 100 sztuk 70 starek i zaprzestano dalszego polowania. Ponadto, z powodu panującego upału, firmy eksportowe przez kilka tygodni nie kupowały zupełnie zwierzyny, niewytrzymującej w tych warunkach dalekiego transportu do Francji.

Na zimowych polowaniach szczególnie klęskowo przedstawiał się rozkład bażantów. Tu rezultat rozkładu rzadko przekraczał 20% zeszłorocznego i znany mi jest tylko jeden rewir z hodujących bażanty na dziko (Piaski p. p. Karłowskich), gdzie podniesiono 180 kogutów wobec 220 w roku ubiegłym. Zajęcy prawie wszędzie było o 50—60% mniej na rozkładzie.

Wobec tych okoliczności, niema nas w tym roku wśród kroniki myśliwskiej „Łowca Polskiego". Mam to wrażenie, że większości rewirów naszych i w kronice przyszłorocznej jeszcze też nie będzie, bo, przeglądając rozkłady za lata ubiegłe, z żalem stwierdziłem, że cofnęliśmy się prawie o 6 lat w ilostanie naszej zwierzyny.

Nie spoglądamy jednak zazdrośnie na sąsiadujące z nami rewiry byłego Królestwa, które i w tym roku świetne wykazują rezultaty, a raczej w dążeniach naszych łączymy się z zalanymi powodzią rewirami Małopolski i wraz z niemi zaczynamy od nowa!

JAN DONIMIRSKI,

Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Rawicz Wlkp.

Z POWIATU MIELEC.

W roku ubiegłym lipcowa powódź znaczne poczyniła szkody w drobnej zwierzynie.

Co do stanu zajęcy w pow mieleckim, muszę stwierdzić na podstawie spostrzeżeń, zrobionych na licznych polowaniach w grudniu roku ub. i styczniu roku bież., że stan ich w stosunku do lata ubiegłego, zmniejszył się o połowę, a tylko w nielicznych wypadkach osiągnięto te same wyniki, co w zeszłym sezonie. W grudniu roku ub. w południowej części powiatu zające ginęły masowo. Badania weterynaryjne sztuk padlych wykazały gruźlicę płucną, przypuszczalnie nadmiarem wilgoci spowodowaną. W marcu r. b. silne, bo do 10 i więcej stopni dochodzące mrozy dopełniły złego. (W Rzemieniu znaleziono 5 marca cztery małe zajączki padłe przypuszczalnie z zimna). Biorąc pod uwagę wyginięcie choćby częściowe marczaków, tego zasadniczego lęgu, nie należy spodziewać się w najbliższej przyszłości polepszenia stanu zajęcy w powiecie.

Stan kuropatw, pomimo znacznych strat, jakie poniosły one podczas powodzi na terenach zalewnych Wisłoki i Wisły, jest zadowalający.

Przechodząc zkolei do innej zwierzyny naszego powiatu, t. j. jelenia, sarny i dzika, stwierdzam znaczny przyrost liczbowy tej zwierzyny. Jednakowoż przyrost sarn-kóz w niektórych łowiskach zaczyna być niepokojąco nadmierny tak, że należałoby bezwzględnie przeprowadzić tam silny odstrzał kóz, których stosunek do rogaczy jest nadmierny. Już od kilku lat daje się zauważyć stopniowy zanik poroży u naszych rogaczy, a biorąc pod uwagę bardzo dobre warunki hodowlane dla sarn w naszych lasach, należy szukać przyczyny tego jedynie w nadmiernym stanie sarn - kóz, wskutek czego degeneracja postępuje szybko naprzód. Myśliwi, posiadający nadmiar kóz w łowisku, powinni się nad tem głęboko zastanowić i zadać sobie pracę, by po dokładnem obliczeniu sztuk przeprowadzić odpowiedni odstrzał. Mojem zdaniem, sprawa ta zaczyna być naglącą, gdyż nie powinno się dopuścić, by nasze, tak dobre dotąd pod względem poroży, rogacze spotkało to, co w innych dzielnicach kraju. Kwestja odstrzału kóz nadliczbowych, tak szeroko omawiana swego czasu na łamach „Łowca Polskiego" przez p. mgr Wielopolskiego, niestety, nie znajduje dotąd w sferach łowieckich posłuchu. Niejeden właściciel licznych sarn w łowisku z zadowoleniem patrzy na swoją „obórkę", cieszy się z przyrostu, a nie zwraca uwagi na poroża rogaczy, goście zaś jego, czy też on sam, wybierając corocznie najlepsze rogacze do odstrzału, pozbawiają cały stan dobrych reproduktorów, przez co stwarzają najlepsze warunki do degeneracji. Kwestję powyższą dlatego w sprawozdaniu poruszyłem, ponieważ znaczna część łowisk naszego powiatu to duże leśne kompleksy dawnej Puszczy Sandomierskiej, której głębokie knieje nadają się przedewszystkiem do racjonalnej hodowli sarn i jeleni.

Rykowisko jeleni w ubiegłym sezonie było dobre. Pomimo ciepła, jelenie ryczały już 3 września, a koniec godów przypadł mniejwięcej po 25 tego miesiąca.

Nieliczne byki, które padły podczas zeszłorocznego rykowiska, były to przeważnie poważne jelenie. Widywano też takie, które pod względem wieńców rywalizować mogłyby z jeleniami karpackiemi.

Sprawa zwalczania kłusownictwa i wnykarstwa w powiecie przez posterunki p. p., jakoteż przez strażników łowieckich ulegnie znacznemu utrudnieniu. W najbliższym czasie ma być przeprowadzoną znaczna redukcja posterunków p. p., które obecnie, w licznych wypadkach przeciążone w czynnościach, nie będą mogły sprawom łowieckim wiele czasu poświęcać. W tym wypadku jednak sprawy łowieckie powiatu zejść muszą na drugie miejsce, skoro nawet bezpieczeństwa publicznego, które nieraz pozostawia wiele do życzenia, nie wzięto pod należytą uwagę.

Poniżej podaję ogólne zestawienie ubitej zwierzyny w najważniejszych łowiskach, które, porównane ze statystyką ubiegłego sezonu, najlepiej ilustruje stan drobnej zwierzyny w powiecie.

Wykaz ubitej zwierzyny.

1) PRZYBYSZ, hr. Ledóchowskich, obszar 6.500 ha, zwierzyna łowna: rogaczy 3, zajęcy 11, kuropatw 32, kaczek 16, słonek 6. Szkodniki: lisów 2, różne 10. Razem sztuk 70.

2) PRZECŁAW, St. hr. Reya, obszar 4.800 ha, zwierzyna łowna: jeleni 1, rogaczy 4, dzików 2, zajęcy 80, kuropatw 50, bażantów 2. Szkodników 107. Razem sztuk 252.

3) RZEMIEŃ, W. i A. Szaszkiewiczów, obszar 2.000 ha, zwierzyna łowna: jeleni 2, rogaczy 5, (myłkusy i słabe sztuki) dzików 1, kaczek 40, słonek 7. Szkodniki: lisów 11, jastrzębi 23, wron i srok 157, różnych 22. Razem sztuk 268. (Na zające i kuropatwy nie polowano).

4) CHORZELÓW, Karola hr. Tarnowskiego, obszar 2.000 ha, zwierzyna łowna: rogaczy 3, dzików 1, zajęcy 102, bażantów 4, kuropatw 87. Szkodniki: lisów 9, jastrzębi 14, wron i srok 23. Razem sztuk 243.

5) CYRANKA, A. Oborskiego, obszar 1.200 ha, zwierzyna łowna: jeleni 2, rogaczy 5, dzików 2, zajęcy 50, kaczek 25, cietrzewi 1. Szkodniki: lisów 2. Razem sztuk 87.

6) TUSZÓW, prof. J. Włodka, obszar 4.900 ha, zwierzyna łowna: jeleni 5, rogaczy 5, dzików 2, zajęcy 24. Szkodniki: lisów 6. Razem sztuk 41.

7) WYCHYLÓWKA, hr. A. Franka, obszar 420 ha, zwierzyna łowna: zajęcy 10. Szkodniki: lisów 2. Razem sztuk 12.

8) TOWARZYSTWO IM. ŚW. HUBERTA W MIELCU, obszar 5.000 ha, zwierzyna łowna: zajęcy 67, kuropatw 50. Szkodniki: lisów 1, różnych 1. Razem sztuk 119.

(Żadnych danych statystycznych od licznych włościańskich kółek łowieckich w powiecie nie otrzymałem)).

ANTONI SZASZKIEWICZ,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Mielec

Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

DELEGACI POWIATOWI.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza niniejszem zatwierdzone kandydatury na Delegatów Powiatowych Związku.

W województwie lubelskiem:

Andrzejewski Oktawjan, mjr. — Hrubieszów,
Tuszowski Erazm — Hrubieszów, Chiżowce,
Węgliński Ksawery — Grabowiec, Świdniki — wszyscy na powiat Hrubieszów;
Chromiński Władysław — Lubartów, Palecznica,
Niedzielski Tadeusz, dr. — Łęczyca,
Tyrankiewicz Zygmunt — Niemce — wszyscy na powiat Lubartów;
Chwalibóg Tadeusz — Żelechów, Mysłów — na powiat Łuków.
Niedziałkowski Edward — Zamość,
Szeptycki hr. Kazimierz — Łabunie — obydwaj na powiat Zamość.

W województwie warszawskiem:

Rogalewicz Kazimierz, prok. S. O. — Płock — na powiat Płock;
Domański Piotr — Zakroczym, Zdunowo,
Kocięcki Andrzej — Dziekarzewo, Dłużniewo,
Marczewski Jerzy — Płońsk, Ćwiklin — wszyscy na powiat Płońsk;

Marylski Wojciech — Pruszków, Pęcice — na powiat Warszawa.

W m. stoł. Warszawie:

Czerski Stanisław — Warszawa, Kopernika Nr. 37,
Szmid Ludwik, inż. — Warszawa, Okólnik Nr. 9.

Lista kandydatów ogłoszona po raz trzeci.

OKRESY POLOWAŃ W 1935 R.

na obszarze Rzeczypospolitej, z wyjątkiem woj. śląskiego.
Czas polowania oznaczony jest polami białemi, czas ochronny— czarnemi. Cyfry w tabelce oznaczają pierwszy i ostatni dzień polowania.

RODZAJ ZWIERZYNY:	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiec.	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień	UWAGI
Łosie-byki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	Polowanie zabr. do 31.XII 35 r.
Łosie-samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Jelenie i daniele samice i cielęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Sarny-kozły w woj. pozn. i pomors.	■	■	■	■	■		15|||	|||16		■	■	■	
„ „ w woj. krak. lwow. stan. i tarn.		■	■	■	■								termin obow. do 31.XII 1936 r.
„ „ pozostałe województwa		■	■	■	|||16								„
Sarny kozy i koźlęta	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dziki			■	■	■	■							termin ten obow. do 31.XII 1935
Niedźwiedzie	14|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16	termin ten obow. do 31.XII 1937
Niedźwiedzice z małemi	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Rysie		14|||	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	termin ten obow. do 31.XII 1937.
Żbiki		■	■	■	■	■	■	■	■				termin ten obow. do 1.XII 1935 r
Kuny leśne (tumaki)		■	■	■	■	■	■	■	■	■			„ „
Norki		■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	„ „
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Wiewiórki			■	■	■	■	■	■	■	■			
Zające-szaraki w woj. pomor. i poznań.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			termin ten obow. do 31.XII 1935
„ „ wileń., nowogr. i polesk.		■	■	■	■	■	■	■	■	■			„ „
„ „ pozostałe województwa		■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			„ „
Zające-bielaki		14|||	■	■	■	■	■	■	■	■			
Głuszce-koguty	■	■	|||16		14|||	■	■	■	■	■	■	■	
Głuszce-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Cietrzewie-koguty						■	■	|||16					
Cietrzewie-kury w woj. wil. now. bial. pol. i wol.	■	■	■	■	■	■	■	|||16	14|||	■	■	■	
Cietrzewie-kury w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Jarząbki i pardwy		■	■	■	■	■	■	|||16					
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			termin ten obow. do 31.XII 1935
Bażanty-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Kuropatwy w woj. wil. now. bial. pol. i wołyń.	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■	
Kuropatwy w pozostałych wojew.	■	■	■	■	■	■	■	■				■	
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■			do odlotu		
Dzikie indyki-samce					14|||	■	■	■	■	|||16			
Dzikie indyki-samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	|||16			
Słonki					14|||	■	■	|||16					
Bataljony						■	|||11						
Dzikie kaczory						■	|||16						termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie kaczki-samice i młode oraz inne ptactwo wodne i błotne	■	■	■	■	■	■	|||16						„ „
Czarne bociany	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					14|||	■	■						
Dropie i dropie kamionki (strepety)	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	termin ten obow. do 31.XII. 1935
Dzikie gołębie, drozdy, kwicz., paszkoty		■	■	■	■	■	■	|||16					
Ptaki brodzące i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|||16					
Wilki, wydry, koty domowe (kamionki), tchórze, gronostaje łasice, [illegible], jastrzębie-gołębiarze, krogulce, [illegible] i wrony													wolno polować przez cały rok
Lisy, orły													czasu ochronnego niema
Żubry, bobry, kozice, świstaki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	polowanie zabronione

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

W „Przeglądzie Rybackim" Nr. 7 z dnia 1 b. m. w artykule pod tytułem „W obronie interesów rybactwa" p. Leonard Dreczkowski, Prezes Wielkopolskiego i Pomorskiego Towarzystwa Rybackiego, w sprawie dzierżawienia jezior państwowych zamieszcza szereg uwag, które żywcem przypominają stosunki, opisane w artykule red. Garczyńskiego p. t. „W sprawie dzierżawy polowań w lasach państwowych" zamieszczonym w Nr.Nr. 5, 6, 7 i 8 „Łowca P." z bieżącego roku, aczkolwiek oczywiście prace te powstały zupełnie samodzielnie i autorzy ich nawet nie znają się wzajemnie. Posłuchajmy, co pisze p. Dreczkowski:

„Trudno mi zrozumieć, dlaczego autor wini fachowych rybaków za to, że na terenie województw zachodnich nastąpił „duży napływ do rybactwa elementu niefachowego, pozbawionego zupełnie siły finansowej" i że przy przetargach „jeziora państwowe dostawały się w ręce niefachowców, a nawet instytucyj różnego rodzaju, nie mających w żadnym razie nic wspólnego z rybactwem". „Dzierżawcy ci", — pisze autor dalej — „utrzymywali się przy przetargach, oferując niewspółmiernie wysokie czynsze, nie orjentując się niejednokrotnie w wydajności jeziora". „Rzecz oczywista, że w tych warunkach rybacy-fachowcy zmuszeni byli albo tak samo śrubować oferowany czynsz, albo odpadali od przetargu". Bardzo cenne wyznanie. Wszakże każde ogłoszenie o przetargu zawierało warunek, że do przetargu dopuszcza się wyłącznie rybaków fachowców! Któż w pierwszej linji był powołany do przestrzegania tego warunku? Władze zaborcze przestrzegały go bardzo ściśle, ale czy przestrzegała go kiedykolwiek Administracja L. P.? Czy nie ignorowała stale ustawicznych nalegań rybaków-fachowców, aby ten właśnie warunek był przestrzegany? Pytamy więc, po czyjej stronie była wina? Czy władza, która przez usta swych konsulentów deklamuje o konieczności wpojenia w dzierżawców poczucia etyki, nie powinna była przy przetargach baczyć na takie szczegóły, jak fachowość, siła finansowa, kwalifikacje osobiste i t. p.? Czy żal tych licznych uczciwych rybaków-fachowców, którzy dzięki takiemu postępowaniu Administracji L. P. zostali zrujnowani i zeszli na dziady, nie jest słuszny? Albo czy słuszne jest nieustępliwe stanowisko Administracji L. P. w sprawie obniżki czynszów dzierżawnych, które w województwach zachodnich są o wiele wyższe, niż w innych połaciach Rzplitej? Wszakże autor sam przyznaje, że wskutek nieprzestrzegania warunku fachowości rybacy-fachowcy zmuszeni byli sami śrubować oferowany czynsz, nie mogąc później wywiązywać się z przyjętych na siebie zobowiązań, zwłaszcza, że warunki zmieniły się radykalnie na ich niekorzyść, a czasy nienormalnie wysokich cen na ryby minęły bezpowrotnie. Logika kazałaby przypuszczać, że władza, zrozumiawszy nareszcie, że nieusprawiedliwiona wysokość czynszów rujnuje nietylko rybaków-dzierżawców, ale jest zgubna dla państwowej gospodarki rybnej i na dalszą metę szkodzi interesom skarbu państwa, odstąpi od swych bezwzględnych praktyk i pójdzie dzierżawcom na rękę, uwzględniając słuszne wnioski o obniżkę czynszów. Ale gdzież tam! W 99-ciu procentach wypadków stereotypowa odpowiedź brzmi lakonicznie: „Dla braku uzasadnionych przyczyn wniosek odrzuca się".

„Stając w obronie ustawy o rybołówstwie, autor twierdzi, że teraz dopiero po jej wprowadzeniu w życie nastaną dla rybaków czasy złote i zapanują stosunki wprost sielankowe. Zdaniem autora już od roku 1928-go, kiedy to Administracja L. P. przejęła we własny zarząd wszystkie wody rybne, stanowiące własność Skarbu Państwa, stosunki kształtują się wzorowo i zapanowała bezwzględna sprawiedliwość, bo „wydzierżawienie objektu przestało być aktem administracyjnym, którym nakłada się na obywatela pewne ciężary, bo każda umowa właściciela (czytaj Administracji L. P.) z dzierżawcą ma teraz swoje zupełnie odrębne oblicze i jest aktem cywilno-prawnym pomiędzy dwiema stronami, z których jedna jest stroną dającą, druga biorącą". O tak! Tutaj autor ma niewątpliwie rację. Stroną dającą, i to pieniądze, a nie biorącą wzamian prawie nic, jest nieszczęsny rybak-dzierżawca, a stroną biorącą pieniądze, a nie dającą wzamian prawie nic, jest Administracja L. P. Tylko, że według naszych pojęć każda ze stron powinna być w równej mierze dającą i biorącą. Niestety, tak nie jest. Dzierżawca traktowany jest nieodpowiednio, nie jak kontrahent i klient, lecz jak podwładny, któremu nakłada się ciężary pańszczyźniane, a odmawia wszelkich praw, którego obowiązkiem jest słuchać pokornie rozkazów i milczeć. Leży oto właśnie przedemną urzędowy list, jeden z tych, jakie każdy z nas odbiera codziennie. Zaczyna się od słów: „Nadleśnictwo wzywa pana..." i t. d. A biada, gdy się wezwania nie usłuchał — Kimże jesteśmy? Kontrahentami czy podkomendnymi? Gdzież w całym świecie poza Polską spotyka się takie stosunki? Płacimy przecież czynsze i podatki, zagospodarowujemy wydzierżawione nam warsztaty pracy i dążymy do podniesienia gospodarstwa krajowego. Nie chcę być niesprawiedliwy. Są nadleśnictwa, które oceniają pracę rybaka-dzierżawcy i odnoszą się doń życzliwie, ale jest ich niestety niedużo".

„Dopiero takie postawienie sprawy" (t. j., że jedna strona jest dającą a druga biorącą) mogło — zdaniem autora — „wpoić w ogół dzierżawców przeświadczenie, że akt zawierania umowy jest zobowiązaniem, którego za wszelką cenę trzeba przestrzegać i którego trzeba dotrzymać". Za pozwoleniem! Czy tylko w ogół dzierżawców, a w drugą stronę nie? Czy w słowach tych nie mieści się ukryty zarzut nieuczciwości pod adresem dzierżawców? Czy dzierżawca może przedtem nie miał tego przeświadczenia, albo czy wogóle miał możność nieprzestrzegania i niedotrzymania umowy, skoro musiał deponować niesłychanie wysokie kaucje, które mu potem w wielu wypadkach niesłusznie konfiskowano, rujnując go nieraz doszczętnie i doprowadzając do kija żebraczego? Czy nie teroryzowano poprostu dzierżawców, stających do przetargu, narzucając im warunki często zupełnie nieuzasadnione, powodujące niepotrzebne olbrzymie wydatki? Warunki te rybak musiał przyjąć, aby wogóle módz stanąć do przetargu, gdyż inaczej z nim nie dyskutowano".

Kończy zaś Sz. Autor w następujący sposób:

„Czyż autorowi rzeczywiście nie wiadomo, że właśnie na opłaty niezmiernie wygórowanych czynszów, śrubowanych z winy Administracji przez niesumiennych, niefachowych spekulantów i na zawrotne kaucje, na które wielu rybaków-fachowców zrujnowało się doszczętnie, trzeba było, chcąc sprostać żądaniom Administracji, zadłużać się po uszy? Jako prezes Towarzystwa Rybackiego, trzymający rękę na pulsie rybactwa, mogę zapewnić autora, że zadłużenie jest, nawet bardzo znaczne i że ustawa oddłużeniowa ma i będzie miała na jeziorach jako części rolnictwa bardzo duże zastosowanie. Nieustępliwość, bezwzględność i biurokratyzm naszego kontrahenta doprowadzą nas rybaków wszystkich przed urzędy rozjemcze.

Polityka rybacka władz, taka, jak ją przedstawia artykuł, sygnowany przez pana inżyniera Koszutowskiego, a odzwierciadlający poglądy pana konsulenta profesora Staffa, godzi w najżywotniejsze interesa rybaków i rybactwa. Twierdzenie, że zamierzenia Administracji L. P., powzięte w związku z ustawą o rybołóstwie, wytworzą stan idealny i zlikwidują wszelkie bolączki, jest zapoznawaniem rzeczywistości. Teorje są bardzo piękne, ale praktyka wygląda inaczej. Chaos będzie jeszcze większy. Koszty tych eksperymentów poniesie znów dosyć już zmitrężone rybactwo, a gospodarstwo krajowe nie będzie miało pożytku, lecz straty. Jako stary rybak zawodowy poczuwam się do obowiązku ostrzedz władze państwowe, aby były ostrożne z monopolizowaniem i etatyzowaniem rybactwa. Rybactwo nie jest źródłem złotodajnem, lecz pracą ciężką i ryzykowną.

Tout comme chez nous! Nieprawda?

X. Y. Z.

PRZEZ MIKROFON.

W dniu 16 lipca b. r. warszawska rozgłośnia Polskiego Radja nada aktualną z uwagi na otwarcie sezonu polowania na kaczki pogadankę p. t. „Jak polować na kaczki?"

Autorem pogadanki jest p. Jerzy Dylewski, członek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

ROZMAITOŚCI.

KRÓL KURKOWY 1935 R W WARSZAWIE.

W dniu 9 czerwca r. b., t. j. w Zielone Świątki, jak tradycja Bractw Kurkowych tego wymaga, odbyło się po półtorawiekowej przerwie konkursowe strzelanie do tarczy królewskiej, którego zwycięzca ogłoszony zostaje Królem Kurkowym.

Godność tą zdobytą została na strzelnicy Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie w Szczęśliwicach przez p. Tadeusza Koszutskiego, trzema celnemi strzałami z odległości 185 metrów. Pierwszym rycerzem został p. Rajmund Czaplicki, drugim — p. Artur Auterhoff.

Nowy król ufundował dla przyszłych pokoleń królewskich starożytny łańcuch, dawny pas rycerski, na którym noszony będzie srebrny kur, przygotowywany obecnie na wzór starożytnego srebrnego kura Bractwa Kurkowego w Warszawie, złożonego w Muzeum Narodowem.

Bractwa Kurkowe powstawały w Polsce w połowie XIII-go wieku i miały za zadanie obronę murów miasta. W Warszawie ostatni bracia kurkowi wyginęli co do jednego, jak głosi podanie powtórzone przez Reymonta, przy obronie miasta w wieży bernardyńskiej, w czasie zdobywania Warszawy przez wojska Igelströma.

Nagrodę Olwarcia tegoż dnia zdobył pięcioma strzałami z odległości 50 m. p. generał Czesław Jarnuszkiewicz, drugie miejsce p. Józef Skrzypek, trzecie — p. Stanisław Nałęcz.

Po konkursach odbyło się w Klubie Bractwa skromne przyjęcie, w którem wzięli udział pp. starostowie Szarewski i Rydygier, gen. Skrzyński i kilkadziesiąt osób z różnych sfer towarzyskich stolicy.

Jednocześnie strzelano do rzutków i zajęcy ruchomych w środku stadjonu.

ZNIEKSZTAŁCONA RACICA U JELENIA.

Zamieszczona na str. 388 fotografja przedstawia lewy przedni badyl jelenia — dwunastaka, ubitego w leśnictwie państw. Katarzynów. Zniekształcenie racicy nastąpiło na skutek okaleczenia przedniej nogi w łopatce przez postrzelenie. Jeleń ten raniony był loftkami przez chłopów, dzierżawiących polowanie wiejskie, graniczące z terenem lasów państw.

W pierwszych dniach po zranieniu chodził o trzech nogach — chorą zaś nosił zwieszoną, na której się nie wspierał i wskutek tego prawdopodobnie noga zrosła się tak, że jeleń wspierał się nieco na prawej racicy, lewa zaś nieścierana równocześnie wyrosła nadmiernie i zniekształciła się. Prawa strona wieńca wykazuje niezupełne wyrównanie w koronie.

A. WIŚNIEWSKI,
leśniczy.

SZCZEPIENIA PRZECIW NOSÓWCE.

Znany badacz chorób psów, autor wielu prac z tej dziedziny, dr. Maksymiljan Łabędź, przeprowadza od wielu lat na psach myśliwskich i innych ras szereg prób praktycznego stosowania szczepień ochronnych przeciw nosówce psów.

Różne szczepionki, wyrabiane zagranicą, względnie w kraju, nie przyniosły tak pozytywnych rezultatów, jak tego należy wymagać, wobec czego niektórzy hodowcy wyżłów rasowych, których hodowle powstały nakładem wielkich kosztów, wysiłków i pieczołowitych trudów, uciekły się przy pośrednictwie p. dr. Łabędzia do zastosowania szczepionki angielskiej.

Fotografja, którą umieszczamy na str. 393, przedstawia scenę szczepienia jednego ze szczeniąt z pierwszego miotu suki Geurre, pochodzącej z hodowli pointerów „Marbiel", a stanowiącej zapoczątkowanie hodowli „Geurrestone'ow" p. K. Kamieńskiego.

Wszyscy sześciu właściciele szczeniąt Geurry poddali je szczepieniu przeciwko nosówce szczepionką angielską, której w pełni dodatnie wyniki oglądano już w kilkuset przypadkach stosowania tej mianowicie szczepionki przez dr Łabędzia.

WŁ. Z.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

Wiadomości hodowlane.

Splendor Warta (Janko-Bolmil Prima) wł. Henryka Grodzkiego została w dn. 22 maja r. b. pokryta Marbiel Gryffem (Janko-Blachfield Edith) wł. inż. Kieffera.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) Nadleśniczy w Korzenicy p. Tadeusz Gajewski omalo nie przepłacił życiem swego energicznego zwalczania kłusownictwa.

Kłusownicy, dla których nadleśniczy był bardzo niewygodny, poprzysięgli mu zemstę, nie cofając się nawet przed zbrodnią.

W nocy z dn. 29 na 30 maja nieznany osobnik strzelił do budynku, który zamieszkany jest przez nadleśniczego. Kula przebiła ścianę i weszła do wnętrza domu ponad górną częścią okna, nie czyniąc jednak nikomu żadnej krzywdy.

Na zasadzie przeprowadzonych dochodzeń ustalono, że czynu tego dokonali przez zemstę kłusownicy, chcąc tym sposobem sterroryzować nadleśniczego, pełniącego gorliwie swe obowiązki.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, gen. St. Skrzyński, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8882.

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka, Warszawa